

BLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobieczy

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 7 MARCA 1931 ROKU

NR. 10

TREŚĆ NUMERU: Prawo do pracy — *Herminja Naglerowa*. Poezje: „Człowiekowi smutnemu“, „Kłoni mi do okna zastukał“ — *Jan Szczawiej*. Leszek (nowela) — *Władysław Rymkiewicz*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Yvette Guilbert — *Jadwiga Kiennarska*. Sprawa Olive Kathleen Wise i kara śmierci — *Teodora Drzewiecka*. Jak uczcić pamięć ostatniej dziedziczki Tuhanowicz? — *Wanda Kotwicka*. Polskie korporantki — *N. J. Z teatrów* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Co trzeba wiedzieć o gruźlicy — *Dr. Marja Kłosińska*. Nasze wolne godziny (dok.) — *Wanda Dobrzańska*. Wiosenne dolegliwości skóry — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. Nieco o nawożeniu — *Stan. Schönfeld*. W kuchni pani Ady Orłowskiej — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Premje dla Czytelniczek „Bluszcza“. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty“.

PRAWO DO PRACY

Czy równouprawnienie kobiet ma wielu zwolenników wśród mężczyzn?... To śmieszne i, zdawałoby się, dziś nieaktualne pytanie z illo tempore, przypominające „zacierzowanie“ pierwszych feministek, jest jednak pytaniem niebezpiecznym. Grozi mu bowiem — odpowiedź. I napewno ogół kobiecych nie oddałby swojej sprawy na los męskiego plebiscytu. To znaczy, że nasze prawa nie są jeszcze dostatecznie umocnione w przekonaniach, zasadach, pojęciach mężczyzn, że nie stały się jeszcze normą życiową, że są zawsze jeszcze nowością nieco dziwną, nieco nieprzyjemną, nieco drażniącą.

Z takiego zresztą nastawienia psychicznego mężczyzn wynika właśnie stan wojenny, trwający, mimo naszego ustawowego równouprawnienia. I, jak na wojnie, musimy być w ciągłym pogotowiu, aby bronić naszego stanu posiadania.

A teraz powiem, dlaczego właśnie dziś, w tej chwili, wydobywam z arsenału dawnych feministek owo pytanie i ową wojnę. Zaczęę jednak zdaleka, bo daj od momentu stworzenia — wolnej, równouprawnionej, dzisiejszej kobiety.

Podczas wojny światowej zmobilizowano kobiety do wszelkiej pracy — oczywiście, zastępczo. Okazało się jednak, że kobieta jest doskonałą pracownicą, że wnosi duże, świeże wartości, że więc w odbudowie zniszczonych przez wojnę warsztatów pracy, w rekonstrukcji pokojowego życia nie można będzie obyć się bez tych nowych wartości, uzupełniających formę świata pracy: — umysłowej i fizycznej. Tak się stało, że poznano w praktyce prawdę i słusność tych po-

stulatów kobiecych, którym odmawiano tak długo posłuchu. A wreszcie zrealizowano jeden z dogmatów ludzkości: prawo do pracy.

I to właśnie, że kobiety masowo skorzystały z prawa do pracy, świadczy o ich wysokiej wartości społecznej. Prędko, niemal w mgnieniu oka przekształciły się z próżnujących lalek salonowych, z nudzących się panien na wydaniu, z przeszkadzających starych panien, z kuzynek-rezydentek — w pracujących ludzi. Nie są dziś nikomu ciężarem, nie są nawet ciężarem dla kochających mężów, bo stały się współzycielkami rodziny.

Powojenne, trudne warunki ekonomiczne, ta ogólnoswiatowa konjunktura, powodująca drożyznę i powszechne zubożenie, musiały z natury rzeczy umniejszyć znaczenie „głowy domu“, jako siły zarobkującej. W sferach t. zw. średnich i w sferach robotniczych kobieta prosto z konieczności musi uzupełniać budżet domowy swoim zarobkiem, tak, jak to czyniła od wieków żona i córka małego chłopca. Może uciekała z tego powodu nieco ambicja mężczyzny, ale zato wzrosło samopoczucie kobiety i tem samem wyrównała się niejako miara, skoro nikt nie jest dziś panem domu, nikt „służką i podnóżkiem“. Niewątpliwie dużo jeszcze czasu upłynie, zanim uzgodni się ten wzajemny stosunek w domowej hierarchji, zanim „dom“ — ta najbardziej konserwatywna jednostka w ustroju społecznym i politycznym — przeobrazi się i w tem przeobrażeniu należycie się skrzepi. Widzimy jednak dziś już, w okresie przemiany, że to kobieta właśnie wzięła na siebie troskę i trud

utrwalenia życia rodzinnego zapomocą słusznych i rozumnych reform. Młode pokolenie mężczyzn, wychowane przez matki — kobiety pracujące — inaczej zapewne pojmować będzie równość mężczyzn i kobiet i na tej równości zbuduje wspólny dom.

Można więc z całym optymizmem patrzeć w przyszłość ludzkości, która przez powszechne stosowanie prawa do pracy wysilać się będzie w wyścigu i przyspieszać tempo ewolucji, zgarniając wszystkie wartości umysłowe i każdą sprawność fizyczną.

Ale, zaczawszy od dnia stworzenia kobiety pracującej i wolnej, zapędziłam się zbyt daleko w przyszłość i zostawiłam gdzieś na uboczu feministyczny motyw, z którego właśnie zrodził się niniejszy artykuł. Z przykrością — przyznać muszę — wracam do założenia, do tego zaczepnego pytania: Czy równouprawnienie kobiet — ściślej: czy przyznane im prawo do pracy — ma wielu zwolenników wśród mężczyzn? Mówię: z przykrością, bo właśnie znaleźli się tacy, którzy kwestję tę podjęli z własnej ochoty i nadali jej przedziwny ton, przedziwny sens. Ukazały się bowiem ostatnio wojownicze artykuły, mocnym drukiem czernione, demagogicznie i krzykliwie nawołujące do masowego usuwania kobiet z uczelni, szkół, urzędów, biur, fabryk... Autorzy tych artykułów, cwałując krokiem raka, wspominają najpierw te czasy szczęśliwe, kiedyto istniał podział pracy, kiedyto mężczyzna był panem domu, a białogłowa albolu władą warząchwia, albolu w czepcu niosła się matronowo i górnie. Ha — byłyż to czasy i rączek w małdrzyk i buzi w ciup! A teraz już rankiem z teczka pod pachą wylatuje z domu niewiasta i jeszcze ni z tego ni z owego przynosi na pierwszego swoją pensję i nie prosi już o każdy grosz męża, a sama dzieciom buciki kupuje, sama „funduje“ bilety do kina.

Zapewne, możnaby tak żartobliwie pogawędzić z owymi panami autorami, gdyby nie konkluzja ich romantycznych wspominek. Żądają mianowicie, żeby kobiety natychmiast usunęły się z zajętych stanowisk, z biur i fabryk i ustąpiły miejsca — bezrobotnym mężczyznom. Więc z zagadnienia aktualnego, z zagadnienia, którego źródło tkwi w ogólnoeuropejskim kryzysie gospodarczo-finansowym, ukuli ci panowie hasło efektowne i groźne. Reakcja żongluje nawet cyframi, przygniatającymi cyframi: 500,000 wolnych posad dla bezrobotnych mężczyzn!

Wywody naszych wsteczników nie są nieznanne. To samo przecież hasło parę miesięcy temu rzucili niemieccy hitlerowcy na przynętę tłumom: Kobiety do domu! — Czyż to więc ten sam duch, ta sama ciasna umysłowość, to samo społeczne „natchnienie“?

Możnaby zresztą zlekceważyć i ten duch, i grubą czcionką, i nawet wezwanie: „Rzucamy hasła wal-

ki o prawo mężczyzny w Polsce!“ — gdyby nie kilka faktów, to jest kilka zarządzeń w instytucjach prywatnych i rządowych, świadczących o istniejącej tendencji usuwania kobiet. Narazie usuwa się mężatki, bo przecież zarabia (a może właśnie nie zarabia?) mąż. Nie wystarczy biedniutki zarobek męża? Rodzinie grozi nędza? Trudno — od tego jest mąż (wiadomo: mąż, mężczyzna, dzielność, energja, głowa rozwalająca mur), żeby utrzymywał dom.

Cóż przeciwstawić takiemu skomplikowanemu absurdowi, dowodzącemu, że właśnie mężatka musi ustąpić z posady, choćby jej koleżanka panna była córką zamożnych rodziców? Nie wiem też, jak wyobrażają sobie panowie opiekunowie bezrobotnych (piszą: „Nasze hasła są Waszemi hasłami...“) sprawę zwalczania bezrobocia drogą pozbawiania kobiet pracy. Przecież bezrobocie zostanie, zmieni tylko — płęć! Zaczem pójdzie zwijanie szkół żeńskich średnich i zawodowych, więc zamykanie istniejących warsztatów pracy, jakimi są te instytucje. Zaczem przyjdą i inne objawy wtórne, więc zmniejszenie się konsumpcji, jako rezultat zmniejszenia się budżetu domowego, nie zasilanego zarobkiem kobiet. Nastąpi, jak łatwo pojąć, przewartościowanie, przeplaszanie nędzy. Paljatywami nie rozwiązuje się bowiem zagadnienia tak trudnego i w założeniu swem tak skomplikowanego, jakim jest bezrobocie. Ileż zresztą naiwności w takim stawianiu sprawy: „Równowagę gospodarczo-społeczną należy już dzisiaj zapoczątkować przez: 1) przywiedzenie (!) mężczyzny do dawnych praw przedwojennych i jego przed kobietą pierwszeństwo do wszelkiej posady i pracy; 2) zapoczątkowanie generalnego zwalniania kobiet z urzędów, biur, handlu, fabryk, kopalń, warsztatów i t. d.; 3) nacisk na koncesjonariuszów o konieczności (panowie, wasza polszczyzna!) zatrudnienia przy eksploataowaniu koncesyj samych mężczyzn...“.

A wszystko to wypisuje się: „w interesie świetlanej przyszłości Rzeczypospolitej“...

Powie ktoś, że już samo formalne ujęcie owych hasel jest niepoważne, że jest to publicystyka minimum gentium i że nie warto podejmować wobec niestylistycznego stanowiska kontrahentów walki z nimi. Zapewne, nie polemizowałybyśmy z autorami bombiastycznych artykułów, gdyby nie owe wyżej wspomniane fakty usuwania kobiet z zajmowanych posad, w myśl owej błędnej ideologii.

Zwracamy więc uwagę naszych posłanek i organizacyj kobiecych, na niebezpieczne objawy wstępnictwa. Nie damy sobie przecież odebrać prawa do pracy, nie zezwolimy na „masowe usuwanie kobiet“, grożące nowym chaosem ekonomicznym, a żadną miarą nie rozwiązujące zagadnienia bezrobocia!

Herminja Naglerova.



JAN SZCZAWIEJ.

CZŁOWIEKOWI SMUTNEMU

Wiatr od lasu wieje wonią jałowca smagłą,
 Śnieg na krzakach kwitnie srebrną czeremchą.
 Czas niebo, jak gałąź śliwy, ku dłoniom ziemi nagiął,
 Zaszumiał nad złocistymi gwiazdami — i przemknął.

W słuchaj się, bracie najmilszy, w słowa wieczornej ciszy,
 Które w twoje serce patrzą jaśniej od fiołków jutrzeńki;
 Popatrz: na rozgórku wiatrak na siwych skrzydłach kołysze
 Ciepłym chlebem pachnący, hrubieszowski błękit.

Zachwiał się płomień w oddali. To wieś śpi w złotym mroku.
 Za wsią na polu sinem — srebrne czeremchy kiście.
 Pomiedz, czemu daleki taki jest ci wieczorny spokój,
 Na co, na kogo czekasz w zadumie swej uroczystej?

Patrz: — przecie zapach jałowca płynie od lasu rzeką,
 Przecie dębory zagajnik płonie brązową głębią —
 Czegóż, czegóż pożadasz więcej jeszcze, człowieku,
 Czemu się niepokoję w twoim sercu kłębią?

Nie mów, nie mów, że twoje pieśni nie są dla głodnych chlebem,
 Że pragniesz do ludzi mówić miłością, jak niebo tęczą —
 Nie mów. Wiem i rozumiem. Przytłacza nas ciężkie niebo,
 A słowa nasze bezsiła, milczącą bezsiłą męczą.

KLON MI DO OKNA ZASTUKAŁ

Klon mi do okna zastukał cicho gałęzią:
 Czy na przyjście wiosny natchnionej nie pora,
 Ktoś mu bowiem w myślach czerwone wieczory uwięził,
 Które dzwony rozkołysały pod jego korą.

Pytał, czy będzie radość i czy smutki odejdą,
 Kiedy przyjdą szumy najcichsze wieczornych liści
 I czy na łanie pszenicy młodej za miedzą
 Tajemnica chleba i życia będzie się iść.

Nie umiałem odpowiedzieć klonowi,
 Chociaż jesteśmy przyjaciółmi i rozumiemy się dobrze —
 Rzekłem tylko, że jak przyjdzie, to ogniem zielonym na polach zapłonie
 I że poeci będą o niej śpiewać pieśni najprostsze.



LESZEK

Novela.

1)

I.

Wymknąć się pociechu z pokoju na korytarz, wypaść na schody, nagle trzaśnięciem drzwi zasłonić się przed natrętnem, znanem: „Dokąd idziesz, Leszku?”

Z ręką na klamce u drzwi swego pokoju Leszek ważył w myślach ten desperacki zamiar.

Zegar w stołowym pokoju ociężale wydzwonił ósmą. Leszek nasłuchiwał.

W mieszkaniu trwała, jak zwykle, nieprzenikniona, grobowa cisza. Cisza złowieszczą. Za którą czaił się dziwny, gnębiący cień samotnika — ojciec.

Nie można było wiedzieć, czy on nie czyha teraz czasem, zaczajony, u kotary w odrzwiach salonu i czy nie wyskoczy nagle na korytarz, aby przypaść do gardła z krzykiem: „Dokąd idziesz, Leszku?”

Leszek, zdesperowany, poruszył się niecierpliwie, jak w sieci. Był uwikłany w sieć podejrzeń ojcowskich, które ściągnął na siebie jednym niebacznym pytaniem. To nieostrożne pytanie okazało się fatalne w skutkach: podejrziwość ojca wzrosła do chorobliwych rozmiarów. Leszek teraz dopiero zrozumiał, że nie wolno mu było o to się pytać.

Lecz wówczas nie mógł już dłużej znieść duszącej niewiedzy, w której utrzymywali go rodzice. I w przystępie naglej irytacji z powodu jakiejś nudnej inadagacji ojca zapytał najbardziej nieoczekiwanie dla samego siebie: „Dlaczego właściwie ojciec rozszedł się z mamą?”

Tak!... dlaczego ojciec rozszedł się z mamą?...

Ta sprawa, ciemna i niepokojąca, wraz z koniecznością ukrywania przed ojcem odwiedzin u matki, kładła się ponurym cieniem na jego młodości.

Męczący obowiązek ukrywania przed ojcem tych odwiedzin narzuciła sama matka. „Lepiej będzie, synku, nie mówić o tem nikomu, że byłeś u mnie... — powiedziała kiedyś przy pożegnaniu.

(„Nikommu“ — to był ojciec!).

Leszek zapamiętał to sobie dobrze. I chociaż nie rozumiał dziwnego życzenia matki, jednak, nie pytając już o nic, zastosował się do jej woli. Odtąd przyjął się już nazawsze, że ojciec nie wie o niczem.

Ta niezrozumiała tajemnica dodawała niepokojącego uroku odwiedzinom u matki. Wynikały stąd przecie różne niedogodności, a najgorsza ta, że z uwagi na ojca nie można było odwiedzać mamy za często. I zwykle z wybięciem godziny dziesiątej mama odzywała się znacząco: „Czas na ciebie, synku!” Wówczas trzeba było ze ściśniętym sercem opuścić wesoły dom doktora Eysbuntta i rozstać się znów na kilka długich dni z ukochaną mamą i śliczną, miłą siostrą, Martynką.

Wszystko poto, aby nie obudzić podejrzeń ojca, przechadzającego się samotnie po wielkim, nudnym i ponurem mieszkaniu na szóstym piętrze, lub ślęczącego przy biurku nad swojemi kodeksami.

Matki nie można było o to pytać — „dlaczego właściwie oni się rozeszli?...” Coś okropnie zawstydzającego stało na przeszkodzie.

Nie!... Mamę nie można było o to pytać!

Leszek zwiesił głowę i po chwili namysłu nacisnął ostrożnie klamkę, wysunął się cichaczem na korytarz. Skupiony i uważny, sięgnął po swą czapkę uczniowską na wieszaku. Wstrzymując oddech w pier-

si, zmierzał na palcach do wyjścia... Gdy w drzwiach przeciwległego pokoju ukazała się gospodyni, pani Jelnicka. Leszek cisnął przez zęby brzydkie, sztućbackie przekleństwo na babę. Oznajmiała uroczyście, że sędzia prosi pana Leszka do siebie do gabinetu.

— Czego ojciec ode mnie chce? — obruszył się niecierpliwie.

— Nie wiem, panie Leszku.

Wątpła, w czarnej, staroświeckiej sukni wionęła, jak cień, przez korytarz. Leszek z czapką w ręce miał chwilę wahania. Wszystko było na dziś stracone!... Rozmowa z ojcem przeciągnie się do kwadransa, i wtedy będzie już za późno na wizytę.

Tłamsząc czapkę w rękach, walczył z pokusą czmychnięcia ojcu z przed nosa. Jednak po namyśle odrzucił zamasyżcie czapkę i z głuchym gniewem udał się przez salon do gabinetu. Miękką szerść grubych dywanów wysłała bezszelestnie jego przyśpieszone kroki. Niepostrzeżony, stanął u progu otwartych drzwi.

W kącie pokoju, w szarych cieniach mierzchnącego dnia płonęło silnie zielone ognisko światła — niska lampa pod szmaragdowym kloszem na biurku sędziego.

Pośród stosów nagromadzonych ksiąg, ustaw i kodeksów tkwiła głowa ślęczącego samotnika; jaskrawy rozblask lampy naświetlał z ostrą wyrazistością nagi, nieforemny czerep i bladą, wyschniętą twarz, okoloną siwiejącymi kłaczkami rzadkiej brody.

Leszek wystąpił na środek pokoju. Wówczas sędzia przeniósł wzrok ze swych aktów na syna.

— A, jesteś...

Chudą ręką wskazał synowi fotel.

— Proszę cię, usiądź — mówił bezdźwięcznym, chrypliwym głosem. — Czy możesz mi powiedzieć, kiedy się zaczynają w tym roku wasze wakacje?

Zaczynały się, jak każdego roku, około piętnastego czerwca.

— Za dwa tygodnie — oznajmił Leszek, zdziwiony niepomierne tem nieoczekiwanem pytaniem.

— Przypuszczam, że promocję masz zapewnioną, co?... W takim razie za rok byłbyś już maturzystą.

Leszek wzruszył tylko na to ramionami, co miało oznaczać, że nigdy nic nie można wiedzieć z pewnością. Unikając wzroku ojca, patrzył w okna i słuchał nieuważnie.

— Chciałem się z tobą naradzić, w jaki sposób spędzimy tegoroczne lato. Wczoraj zgłosiłem swoją dymisję w sądzie, bo zdecydowałem się przyjąć wykłady na uniwersytecie — mówił sędzia. — Rok akademicki zaczyna się w połowie października, mam więc do rozporządzenia około czterech miesięcy.

Leszek poruszył się niecierpliwie. Nic go to nie obchodziło. Przeciwnie, drażniły go i nudziły głupie zwyczaje ojca, który uwziął się, żeby go wtajemniczać w swoje sprawy: miało to oznaczać, że ojciec traktuje go przedewszystkiem, jako swego młodszego przyjaciela.

— Mówię o tem, bo zastanawiam się, czyby nie było dobrze wyjechać w tym roku zagranicę. Myślę, że moglibyśmy urządzić się w następujący sposób...

Leszek zacisnął pięście, hamując wybuch niecierpliwienia. Każda minuta, odjęta z wizyty u matki, była bolesną, niepowetowaną stratą. O dziesiątej mama powie, jak zwykle: „Czas na ciebie, synku!”

A tu zanosiło się na długą naradę, i może ostatecznie trzeba będzie zrezygnować z dzisiejszego wieczoru. Ta myśl przyprawiała go o rozpacz. Zdesperowany, bronił się przed dziką chęcią rzucenia ojcu w twarz: „Przepraszam ojca, śpieszę się... Miałem być o wpół do dziewiątej u mamy“...

Ale tego właśnie nie wolno było powiedzieć.

Pasując się ze sobą, udawał, że słucha.

Nagle zasłyszane słowa ojca: „dwuosobowe auto“ ściągnęły, niby magnes, jego uwagę. Trudno było uwierzyć... Ojciec zamierzał kupić dwuosobowe, sportowe auto!

— Prowadzilibyśmy, oczywiście, naprzemian, ja i ty. Moja marszruta w głównych punktach jest taka: Wiedeń — Medjolan — Genua — Nicea — Marsylja — Paryż. Znam dobrze Riwierę i mogę cię zapewnić, że droga pomiędzy Genuą a Cannes należy do najpiękniejszych, jakie widziałem w mojej życiu.

Leszek słuchał już bez zapału. Prowadzić auto? Owszem, to mogło być interesujące. Otrząsnął się jednak szybko z pokusy, gdy pomyślał, że przyjdzie mu podróżować z ojcem, co będzie okropnie nudne. Gdyby przynajmniej wziąć ze sobą jakiegoś kolegę!... Albo — pojechać nad Atlantyck, do Saint Jean de Luz, dokąd wybierały się w tym roku mama z Martynką!

Wydało mu się nie do zniesienia — przebywać przez całe wakacje w nieodłącznym towarzystwie ojca! Odczuwał to napół świadomie, jako ciężki przymus i niewolę.

— Co myślisz o tym projekcie? — zagadnął sędzia, zadowolony z niespodzianki, jaką zgotował synowi.

— Mnie tam wszystko jedno — bąknął Leszek, chmurny, z oczyma wlepionymi w ziemię.

Sędzia, rozczerowany, przygryzł wargi i drżącymi palcami przeczesał nerwowo siwe kłaczki brody.

— Myślałem, że cię to zainteresuje — syczał z oburzeniem.

Wzrok nieruchomy utkwił z bolesną uwagą w synu, jakgdyby pragnąc przejrzeć ciemny, nieodgadły świat jego myśli i uczuć. W kogo wdał się ten chłopiec, ponury, uparty i zamknięty?...

On wdał się w matkę — pomyślał sędzia z piekącą goryczą. — To wszystko po matce: charakter, usposobienie, cała natura matki, skryta, niedostępna, a wybujała. Z wyglądu również był żywym obrazem matki: jasne, kędzierzawe włosy, rozrzucone w nieładzie nad niskim czołem; bystre, nieufne spojrzenie młodego wilczka; dumne, małe, zaciśnięte usta i mocny podbródek, znamionujący upór, czy stanowczość, raczej — upór; ta cała twarz o uderzającym braku proporcji, a tętnąca czarem słowiańskiej, napół dzikiej wybujałości temperamentu, żywo przypominała twarz matki.

Sędzia zwiesił głowę, uginając się bezsilnie pod naporem męczarni, na wspomnienie żony. Spazm rozpacz i tęsknoty ścisnął gardło. Minęło już tyle lat, a ta rozłaka krwawiła wciąż, jak świeża rana.

Podniósł powoli wzrok na syna. I nagle, rozpaczliwa myśl przejęła go dreszczem bólu na widok tego chłopca: Nie syn — wróg siedział przed nim!

W jednej chwili pojął wszystką bezowocność swoich wysiłków, zmierzających do ugruntowania przyjaźni z tym krnąbrnym, upartym chłopakiem. Ta sama odległość, która dzieliła męża i żonę, rozdziela teraz ojca i syna.

Zaciskając kurczowo ręce na poręczach, wychylił się z fotela:

— To nie znaczy, żeby ten projekt był ostateczny — mówił, starając się opanować wzburzenie. — Marszrutę można jeszcze zmienić... Możemy dokonać zmian...

Umilkł, jakgdyby wyczekując na odpowiedź. Zaczem, sięgnawszy po cygaro, mówił z łagodną perswazją: — Chyba, że wolałbyś zostać w kraju?... Bo może już masz coś upatrzonego?... Zostawiam ci chętnie możliwość wyboru... Mogłeś to zauważyć, że nigdy nie starałem się narzucić ci swej woli. Mieliśmy być przecie przyjaciółmi... — przerwał, zakłopotany. — Masz jeszcze jeden dowód moich dobrych chęci.

Zapałał nerwowo cygaro.

— Decyzja należy teraz do ciebie! Chciałbym jednak dziś wiedzieć, co sądzisz o tym projekcie?

Leszek milczał. Jak nieprzygotowany do lekcji uczeń wobec nauczyciela, toczył wokół siebie niespokojnym wzrokiem, oczekując zakończenia nużącej indagacji. Gniew i zniecierpliwienie narastały w piersi aż do gardła. Śpieszył się. Myślał był już u matki, u Eysbuntów. Badawcze spojrzenie ojca krępowało go, jak niewidzialna sieć: nie mógł się poruszyć. Przedłużające się milczenie stawało się torturą. Leszek czuł, że głowa mu płonie i siły go opuszczają, a jednocześnie w piersi rośnie potężny bunt przeciwko ojcu-tyranowi.

Wstał.

Sędzia rozgarnął drżącymi rękoma papiery na biurku.

— Myślałem... — rzecze.

Leszek wycofywał się z przed biurka za fotel.

— Śpieszysz się?... Wychodzisz?...

Skinął głową, że — tak!

— Dokąd? — spytał niespokojnie sędzia.

— Dowidzenia — odparł Leszek za całą odpowiedź, wymykając się pośpiesznie z gabinetu ojca.

II.

Sędzia podniósł się gwałtownie z fotela.

— Leszek!... — krzyknął, wypadając za odchodzącym chłopcem do salonu. — Leszek!...

Zdołał tylko posłyszeć złowrogi trzask przytraśniętych drzwi frontowych i głuchy odgłos kroków na schodach.

— Wyszedł — poskarżył się cicho, poblądły ze wzruszenia. — Wyszedł...

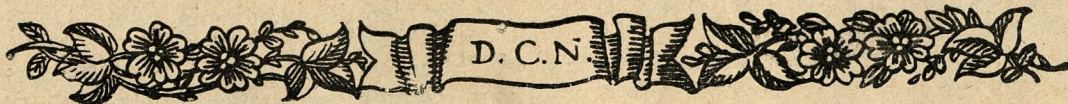
Zmożony, uwiesił się u kotary w odrzwiach salonu, pluszową draperją owinał głowę i trwał tak, zapamiętały w bólu, drętwy, gubiąc się bezprzytomnie w ciemnych bezdrożach domysłów i podejrzeń.

Co to ma znaczyć? Co to wszystko znaczy? Dokąd poszedł ten nieznośny chłopak!... Nie chciał powiedzieć. W ten sam sposób, nagle, bez słowa, odszedł po tamtej pamiętnej rozmowie, gdy zapytał: „Dlaczego właściwie ojciec rozszedł się z mamą?“

Co to miało znaczyć? Dlaczego się o to pytał? Skąd mu to przyszło na myśl?...

Trudno było zrozumieć, dlaczego tak nieoczekiwanie zaczął o tem mówić? Ale to pytanie zwiastowało prawdę, straszliwszą nad wszelkie pojęcie, jeżeli mogło być prawdą, że matka spotyka się potajemnie z synem i knuje z nim jakąś ciemną intrygę przeciwko ojcu.

Władysław Rymkiewicz.



W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

IV.

„Pisz na Tauenzienstrasse 69“.

Nadeszła chwila współpracy dla niepodległości ludów i osobistego wystąpienia w imię upośledzonych.

Świecić czynu tarczą jasną!

Nadszedł czas zanieść Polsce ostatni dar umierającego poety — słoneczność.

A poza tym celem był inny cel podróży Juljusza. Cel synowski — prawie dziecienny — zobaczyć matkę, ucałować matkę!

Czeka na nią we Wrocławiu, czeka w niepokoju i smutku. Listy ich krzyżują się, a dni mijają. Każdego ranka przyjsć może rozkaz wyjazdu. Nie zobaczywszy jej, nie ucałowawszy. Rozpacz gorzkich dni. Poste restante zawodzi, hotelowy adres może zły... Co czynić?

Na szczęście poeta spotkał we Wrocławiu „dobrą swą i dawną znajomą“, separatkę, panią Zofję Mielęcką i prosi matkę: „Pisz na Tauenzienstrasse 69“.

Przychodzi do pani Zofji dla tych to listów, a powtórę, że lubił patrzeć na jej piękność, podziwiać rozum i polot myśli. Widują się często, ale to nie są już dawne, natchnione nad Oceanem noce, ani paryskie rozmowy, gdy gwar miasta scichał i gdy słychać było tylko szmer myśli.

Pani Zofja raz igra czułością, a raz sarkazmem.

Nie jest to już pokorna prawdy wiecznej słuchaczka, najukochańsza siostra po duchu, Sofos Jasna.

„Bracie mój Sofosie, dlaczegoś zwątpił?“

„Sofos jasna, zawiodłaś czystej piękności kochanka, Duch twój, niezbyt jeszcze doskonały, nie zwalczył oporu formy. Znadto kochasz obecne życie, abyś się mogła rozkochać w celach globowych.“

Spotkałem cię po pas w morzu świata zanurzoną i rzekłem do ciebie — „chodź, stań przy mnie — a na fali najwyższej świata, w słońce celów ostatecznych zapatrzeni, utrzymamy się wzajemnie duchów naszych potęgą i wiarą. Ale ty, najmilszy Sofosie, zwątpiełeś i obumarłeś...“

Na tę kobietę, w miłości rozkwitła, patrzył szklanymi oczyma człowieka, który sam siebie nazywał — schorzałym nieomal trupem, zaschłym mózgiem. Dlatego porozumieć się nie mogli. On, który na zawołanie miał język wszystkich wieków polskich, wszystkich stanów, społeczeństw, typów i płci — nie umiał przemówić do młodej duszy i zrozumieć jej nie umiało to najczulsze ucho poezji naszej.

Zofja nie obumarła była, tylko, jak nigdy, żywa. Słuchała mistrza, a myślała o Feliksie. Myślała prostym sercu niepokojem, bo kochała prostą serca miłością. Bała się o los jego, w tych czasach niepewnych, gdy potężne mocarstwa sprzęgły się przeciw bezsilnej polskiej młodzieży.

Myślała o tem, kiedy najdroższe usta znów całować ją będą... Myślała o rzeczach zbyt naturalnych, aby poeta mógł je pojąć. Nie pojął i źle sobie tłumaczył uśmiechy, co przez twarz jej mimowolnie latały, i troski, co na jasnym czole Helois zwykłą chmurą kobiecego lęku siadały. Widział tylko, iż po pas jest w morzu świata zanurzona.

„Groząc mi, że zatoniesz, wyzywałaś mnie, abym ciebie ratował...“

„Jęłaś nawet próbować sił moich ziemskich, patrzyłaś, czyli ja mam cnoty bohaterskie, czy rzucę się w głąb morza, abym ciebie ratował; co więcej, ciekawą cię widziałem, czyli będę, ja, człowiek ducha, jak człowiek ciała, płakał cię zaginionej“.

Jakże daleką od tych myśli być musiała biedna Zofja, jakże drobnym i małym wydawał się jej ból — celów ostatecznych — wobec własnego bólu — serca, co tęskni i niepokoi się opuszczeniem.

Nie zawsze też rozumiał poeta i matkę swą ukochaną, cały już w życiu pozagrobowym pograżony. Choć spokojnie rozpamiętywał z Sally dawne czasy, gdy ona, jak służebnica, warzyła mu kawę, aby syn choć raz dobrej kawy się napił!

Spokojnie rozpamiętywał zamierzchłe krzemienieckie czasy, a niespokojnie czytał listy i gazety, które mówiły o nowych życia smutkach i o bliskich dniach czerwcowych w Paryżu. Oto zawiodą rojenia wyższe w zetknięciu się z rzeczywistością dnia dzisiejszego; oto wypadło mu do Krasińskiego, do brata po duchu, piorunową rzecz napisać i przyjaźń wieszczów błyskawicą rozerwana będzie, choć On marzył, iż jak dwóch Wenedów, żyć będą wiecznie, wspólnym łańcuchem skuci, nawet śmierć ich nie zerwie... Życie poszarpało łańcuch, ale śmierć ich znów złączyła. Na jednych i tych samych deskach kościelnego katafalku położyła autora Anhellego i autora Irydyona...

Śmierć, która już się zbliżała, sprawiła, że na rzeczy ziemskie coraz bardziej miał Słowacki oczy zamknięte. Rzeczy ziemskich miłości zgoła już nie widział. Rozstał się z panią Zofją gniewnie, a może gorzej — tylko obojętnie?

Nie powiedział jej nawet gorzkich słów, które chciał powiedzieć. Iż przez prawdę może być spiorunowana i spalona aż do garsteczki popiołów... Tylko, pomimo wielką i prawdziwą miłość tej duszy, opuścił — nierozgrzeszoną. Nie uwolnił jej ducha... Nie zostawił domku jej w spokoju... Skazał ją na smutek równo dzielony z kwiatami jesiennymi, na zatrwożenie sennej czczości duchowej... Tak mu się przynajmniej zdawało...

Pokój do jej domku wrócił, a smutek, dzielony z kwiatami jesiennymi, w radość wiosny się zamienił. Przyjechał Feliks i zabrał ją do Krakowa! Zaczęto starania o rozwód. Nowe życie, jak nowy kwiat zakwitło! Kwiatu tego owoc powoli dojrzewał! Przyszło na świat dzieciątko! W duszy wszystko było jasne i dobre. Zapomniany ból niezrozumienia, zapomniane górne a bolesne słowa poety. Sercem pełnym przebaczenia spojrzała w jego stronę. Złamała dumę kobiecą i napisała list. A przez to rozjaśniła schmurzenie ducha swego, nic z piękności nie tracąc, owszem, woń piękną, owszem światło przyjazne dorzuciła...

Widząc ją Duchowi Świętemu zwróconą przez boleść, widząc jej dobroć i wspomniawszy na piękność, Słowacki nazwał ją Jasnym bratem.

Wysoki ton listu Zofji napełnił poetę serdecznością nieopisaną, chęcią odwdzięczenia się:

„Powiedz, co mogę dla ducha twego?“

Znów widzi jej świętą piękność i za zasłoną tarczy djamentowej nieobrażone o niej wspomnienie.

Skrzydłem swem, już w nieśmiertelność sięgającym, raz jeszcze ogarnia ją, jak braterskim pocałunkiem:

„Zapatrz się ze mną w światłość ostateczną.

„W świętości tylko, rozweseleniu duchów, ku światłu idących, wolno nam znać się i mową zbliżać do siebie. Rozweselona bądź ze swego zwycięstwa, które odniosłaś nad sobą, pisząc do mnie.

Panuj mi więc, ale bój się, jak małe dzieciątko“.

Z powrotem ją oddał anielstwu. Taki był ostatni list Słowackiego do Sofos Jasnej, ostatni list wielkiego poety, pisany, jak list zakochanego młodzieńca — z bruljonem. Ale nie ostatnia myśl o niej.

Od listu tego wielki czad poszedł po całej literaturze...

Wraca myślą do dalekiej siostry w czasie ostatniej samotnej wigilji, w swem starokawalerskiem mieszkaniu na piątym piętrze, przy ulicy Ponthieu, pod numerem 30-tym.

Mieszkanko, jak każde inne paryskie mieszkanko na wysokim piętrze: sypialnia i salonik. Ten ostatni byłby do szczęścia wystarczający, gdyby nie to, iż w jednej jego stronie kąty nie są zupełnie proste, źle będąc skwadratowane... Okna wychodziły na

przestwór, jaki tylko z wysokości widnieje; w przestrzeni tej stała w marzeniach poety niewidziana wieża Eiffel.

„A tam, czy żądło oślinione jadem?

Czy słońca promień, czy spisa rycerza?

Wysoko strzela blaskiem ozłocona wieża!“

Poeta odszedł od okna, siadł przy stoliku, aby pisać list do Stattlera, przyjaciela - malarza, który twarz jego męczeńską światu przekazał:

„Nieraz przed panią Zofją chwaliłem się z tej miłości, którą mi serce Twoje darować raczyło; teraz ona, będąc w Krakowie, zechce zapewne odetchnąć powietrzem twojej artystowskiej dziedziny.

Proszę, byś był przychylny tej Osobie, która wierzy w ludzi i wiary od ludzi potrzebuje. A jest piękną, zdolną zapału i uwielbienia“.

Słowacki pragnął, aby wszyscy ci, co mieli w sobie wyższą siłę, zbliżali się do siebie i nawzajem pobudzali do ruchu i wspólnoty duchowej.

Takie było ziemskie pożegnanie Juljusza z tą, która, wedle legendy, miała być jedyną kobietą, płaczącą na jego pogrzebie, a wedle uczonych wielu, jego ostatnich prac wzorem i natchnieniem.

Aura Wyleżyńska.

YVETTE GUILBERT

Belles, bonnes et joyeuses chansons.

Nigdy nie była ładna i nigdy nie miała właściwie głosu. Kiedy zaczęła występować, nie stać ją było nawet na białe rękawiczki. I naraz stały się sławne: czarne rękawiczki, chuda brzydota i piosenki, śpiewane bez głosu. Zwyciężyła indywidualność.

Yvette Guilbert. Wielki, promienny talent, olśniewający w pryzmacie krótkich, błahych napozór piosenek, jak słońce, odbite w kieszonkowym lusterku. Śpiewa, czy mówi? Nie wiadomo. „La grande diseuse“. Wskrzesza stare, dawno zapomniane wierszyki, *lais* y prowansalskich trubadurów i piosenki ludowe. Tania, brukową produkcję Rochefort'a i Paul de Kock'a krasomówcą życia.

Chuda, ruda, z twarzą cyrkowego kłowna, obwozi swe czarne rękawiczki i oryginalny repertuar po starym i nowym ładzie. Zbiera laury i dolary. Tworzy własny styl. Ma setki naśladowczyń, młodszych i bardziej urodziwych, z których żadna nie dorasta jej do pięt.

Nawskroś inteligentna. Inteligencją czysto kobiecą, to jest taką, co się składa w równej mierze z intuicji, jak z rozumu. Pisze powieści. Z nich jedną, pełną smutnych, boleśnie odczutyh prawd o miłości starzejącej się aktorki i młodego literata. Tytuł: „Les Demi-Vieilles“. Pół staruszki — takie, którym nie wolno się zestarzeć.

Sama, niestety, starzeje się, ale mądrze i z umiarem. Jak wiele kobiet brzydkich w młodości, utylła z wiekiem i niemal wyprzystojniała. Nie wkłada już na estradę rękawiczek, gdyż nie potrzebuje zakrywać patykowatych rąk. Ma teraz kształty pełne i powabne. Za pełne nawet, ale to tak trudno wszystkim dogodzić! Włosy nadal rude. Zasluga w tem natury, czy fryzjera? Nie wiadomo. I nadal śpiewa, bo... niczego tak na świecie nie lubi, jak śpiewać dla przyjaciół. I zapewnia, że śpiewać nie przestanie, aż umrze, i trze-

ba się z tem pogodzić. — *Oui, c'est comme cela, mes enfants!*

Głos ma ostry, chrypliwy, akcenty często trywjalne. Jest stara, brzydka, ciężka, pospolita i... cudna, nieporównana, genjalna! Władza publicznością, panuje nad widownią, jak dyrygent nad orkiestrą. Batutą doskonale świadomego talentu nakazuje śmiech i łzy, naprzemian.

Wie wszystko o ludziach, złych i dobrych, zadowolonych z życia i upośledzonych przez los. A najwięcej o kobietach i ich przeżyciach najtajniejszych, najskrytszych. I o miłości. I o tem, o czem się nie mówi... ale czasem — śpiewa.

Każda piosenka — to cały świat wzruszeń, oddany z taką maestrją, że widzowie nie tylko przestają zdawać sobie sprawę z tego, czy artystka śpiewa, czy mówi, ale i z tego, że na estradzie jest tylko jedna, gruba, starsza pani w niezbyt modnej tualecie, a nie rzesza różnorodnych postaci, mężczyzn i kobiet, w strojach z rozmaitych, nieraz bardzo odległych epok. I wszyscy żyją, cierpią, cieszą się i smućą, szczerze, lecz w sposób sobie jedynie właściwy. Prawda przeżycia przedziera się, prześwieca poprzez charakterystyczną, stylową manjerę, jak spód ze złotogłowiu przez zwierzchnią tkaninę szaty.

Marianson, średniowieczna kasztelanka, przed mężem przez mściwego wasala oczerniona, ginie z ręki umiłowanego i anielskim głosem przebacza mu swą śmierć, lecz śmierci nowonarodzonego dziecięcia odpuścić nie może... Skąd ten głos dźwięczny i przeczysty, jakby z zaświatów płynący?... Skąd ten wyraz niebiański na masce starego kłowna?...

A oto para skąpców, z właściwą starym mieszczanom perfidją, pełną udanej słodyczy, kłóci się o pieniądze. Jest ich niewątpliwie dwoje, chytrych, zgarbionych starców. Ona, cokolwiek młodsza, żywiąca

źle ukrytą nadzieję przeżycia chciwego małżonka i odziedziczenia zazdrośnie strzeżonych dukatów... A gdzie podziała się Yvette? Jest przecie na estradzie, kłania się uśmiechnięta, dziękuje za oklaski. A tamtych dwoje, wyczarowanych mocą artystycznej sugestji, zniknęło, rozwiało się w nicłość.

Teraz, straszliwa opowieść o krwawiącym sercu, które wyrodny syn wydarł starej matce, a niósł kochance; złej, okrutnej kochance, aby je mogła rzucić swemu psu. Zbyt posłuszny kochanek potknął się w biegu i upadł, a serce matczyne przemówiło: „Et il disait le coeur sanglant: — t'as tu fait mal, mon enfant?“. — Krótki, spazmatyczny szloch wstrząsa salą.

— Oh, ça va comme cela, mes enfants! Nie wolno się długo rozczulać. Zaśpiewam wam piosenki wesołe: o łuczniku, co wszystko brał na wesoło, nawet zdradę żony; o pięknym grenadjerze, bardzo wybrednym w wyborze kochanek, i o Maciusiu-doboszu, którego cesarz Napoleon mianował marszałkiem Francji. I wy zaśpiewacie ze mną.

I śpiewają. Cała sala posłusznie powtarza refren: — „Il chante villette, villette... Il chante villette villon!“. — Zrazu cicho, nieśmiało, potem coraz głośniej. Yvette nadstawia ucha, kiwa potakująco głową; wreszcie, zadowolona, bije brawo.

Coś się komuś nie podobało. Ktoś coś krzyknął na galerji. Kto i co, nie wiadomo. Nie zdążył powtórzyć. Momentalnie wymiotło go jednomyślne oburzenie publiczności. Sala wezbrała gniewnym szmerem, jak wzburzone morze. — Kto śmiał? Jak śmiał?! — Próżno Yvette na estradzie śmieje się, rozkłada ręce i łagodzi sprawę: — „Ca va, ça va, mes enfants“. Ten pan

to jest człowiek uczciwy i odważny. Tak właśnie powinno się postępować. Gdyby publiczność częściej dawała w teatrze wyraz swemu niezadowoleniu, mielibyśmy lepsze teatry.

— Ależ on nam przeszkadza panią słuchać! — woła jakaś młoda dziewczyna, pełna świętego oburzenia.

— Można nie lubić niektórych pani piosenek, ale niech się nikt nie waży nie schylić czoła przed wielkością pani talentu — dodaje piękny męski tenor. Nieposzlakowana dykcja czysto perli gładkie słowa, którym gwar ogólny zdaje się służyć za akompanjament.

Jaka to, swoją drogą, miła publiczność, umiająca dać artystce taką satysfakcję za nietaktowne wystąpienie przygodnego osobnika! Nic dziwnego, że Yvette uważa swych słuchaczy za przyjaciół i postanowiła dla nich śpiewać aż do śmierci.

— Belles, bonnes et joyeuses chansons — tak się to nazywało w programie. Niezupełnie zgodnie z prawdą. Nie wszystkie piosenki były piękne, a bardzo niewiele w nich było wesołości. A najsmutniejsze są może te najweselsze, te o kobietach, które się niesłusznie „wesołemi“ nazywa.

Piękno sztuki Yvette Guilbert jest poza słowami jej repertuaru. Jest w niej samej. W jej odczuciu i zrozumieniu tego, co jest małe w rzeczach wielkich, zabawne w smutnych i beznadziejnie żałosne w wesołych. I ani słowa, ani melodia, ani nawet głos, utrwalony na płycie gramofonowej, nie oddadzą ani setnej części głębokiego czaru, jaki emanuje z piosenek, śpiewanych przez Yvette Guilbert.

Oby je śpiewała jak najdłużej.

Jadwoiga Kieronarska.

SPRAWA OLIVE KATHLEEN WISE I KARA ŚMIERCI

(od specjalnej korespondentki)

Jeżeli w przyszłości ciało prawodawcze Parlamentu angielskiego uchwali wniosek, że karze śmierci nie może wogóle podlegać kobieta, znajdująca się w ciąży, a przynajmniej, że wyrok śmierci nie zostanie ogłoszony w jej obecności — będzie to zasługą wielkiej kampanji kobiecej, której rzeczniką stała się posłanka, Miss Edith Pickton-Turbervill (socjalistka), przedstawiająca jeden z okręgów shropshirskich. Źródłem tej kampanji stał się właśnie taki wyrok śmierci, ogłoszony w obecności nieszczęśliwej kobiety, niejkiej Olive Kathleen Wise, która dopuściła się zbrodni morderstwa na swoim dziewięciomiesięcznym synku, udusiwszy go gazem oświetlającym.

Pomijając nawet to, że okoliczności, towarzyszące jej czynowi, wskazywały, iż z punktu widzenia psychologicznego kobieta ta była niepoczytalna — sam fakt, że za kilka tygodni nieszczęsna miała przed sobą ponowne macierzyństwo, powinien był, zdawałoby się mogło, z czysto humanitarnego punktu widzenia wpłynąć na ten zupełnie nieludzki wyrok. Nic więc dziwnego, że wstrząsnął on sumieniem szerokiego ogółu.

Oto w streszczeniu historia tego przestępstwa: trzydziesto-ośmioletnia kobieta ze sfery robotniczej, Olive Kathleen Wise, została po kilku latach współ-

życia małżeńskiego opuszczona przez męża wraz z trojgiem dzieci. Od tej chwili kobieta ta musiała pracą własnych rąk zarabiać na życie swoje i swoich dzieci, bez chwili wytchnienia. Mając pewne zdolności do szycia i będąc związaną z domem przez troje małych dzieci, zaczęła przyjmować do roboty skromne suknie i przeróbki dla swoich sąsiadek. Ale po pewnym czasie, wypadek chciał, że poznała człowieka, biednego, jak ona, i zesłała się z nim.

Z tego związku urodziło się dziecko, ale ciąża, a potem poród w okropnych warunkach sprawiły, że wycieńczona kobieta już nie była w możności powrócić do swej dotychczasowej pracy. Zaczęła więc sprzedawać na ulicy wiązeczki drzewa na podpałkę, byle wyżywić troje dzieci i czwarte, u piersi. Wreszcie, widząc, że jest to nad jej siły, że nie zarabia nawet na chleb, kilkakrotnie usiłowała dostać się z dziećmi do domu pracy w swoim miasteczku. Nie przyjęto jej tam, co zostało stwierdzone przez śledztwo.

Przed Bożem Narodzeniem poszła do swoich rodziców, błagając, ażeby wzięli do siebie jej najmłodszego chłopczyka, żeby ona nie patrzyła, jak dziecko stopniowo zamiera z głodu.

Nie uczynili tego. Czy nie stać ich było na to,

czy też ich purytańskie uczucia były dotknięte do tego stopnia, że woleli skazać na śmierć głodową nieprawe dziecko córki — dość, że literalnie wypchnęła ją za próg...

I wówczas nieszczęsna, pod wpływem tej ostatniej kropli goryczy, bez cienia nadziei na jakąkolwiek zmianę na lepsze, po przyjsciu do domu odkręciła kurek gazowy w piecyku i wsunęła weń dziecko... A kiedy po paru minutach, już żałując swego czynu, wyjęła je, — dziecko było martwe. Wzięła je na ręce i, szlochając gorzko, pobiegła z niem do sąsiadów, opowiedziała im wszystko.

I tu odrazu rzuca się w oczy, że to, co uczyniła, nastąpiło pod wpływem chwilowego afektu, niepoczytalności umysłowej, bo gdyby ta kobieta była winną zbrodni z premedytacją, czyż nie mogła udusić dziecka w nocy, symulując uduszenie przez własny ciężar, wypadek, n. b., bardzo częsty wśród ubogiej ludności, gdzie kołyska jest uważana za zbytek.

Nie wpłynęło to jednak na sędziów. Nie przekonały ich zeznania wielu świadków, że oskarżona była najczulszą matką dla swoich dzieci, że sama przymierała głodem, oddając im ostatni kęs chleba... Ani fakt, że była w dziewiątym miesiącu ciąży...

O. K. Wise została skazana na śmierć przez jury, które wiedziało o jej stanie...

Rzecz prosta, że w tych warunkach wyrok śmierci zostaje wykonany po przyjsciu na świat dziecka i przeważnie bywa zamieniony w następstwie na dożywotnie więzienie, lecz jakże strasznym okrucieństwem jest ogłosić wyrok śmierci kobiecie, która przeszła przez takie piekło, jak nieszczęsna O. K. Wise!...

To też niepotrzebny był posłanec E. Pickton-Turberville patos, kiedy, opierając się na tym wyroku, wniosła w Izbie Gmin projekt, ażeby po stwierdzeniu ciąży u kobiety, której grozi kara śmierci, kara ta dla niej została skasowana.

„Proszę Izbę o wniknięcie na chwilę w duszę tej nieszczęśliwej kobiety... Oto widzi, jak sędzia nakłada na głowę czarną chustę *)... To jeszcze nie wystarczy. Niel... Teraz padają z jego ust straszliwe słowa:

„I będziesz powieszona za szyję, aż będziesz martwa“...

— Wiemy wszyscy, że ten ceremonjał i okrutne słowa tak oddziaływały na mężczyzn, zdrowych i silnych, że mdleli; a jak musi oddziaływać na kobietę, mającą po za sobą swój dramat i więzienie, i na jej nieurodzone dziecko? — tak zakończyła wśród przejmującej ciszy posłanka E. Pickton.

Oczywiście, ani jeden głos sprzeciwu się nie podniósł, i należy przypuszczać, że wniosek jej przejdzie w najbliższej przyszłości.

Zaraz po ogłoszeniu owego wyroku, w całej prasie zjawily się olbrzymie artykuły, żądające w imieniu wszystkich matek W. Brytanji zniesienia wyroku śmierci, a nawet zupełnego uniewinnienia pani Wise. Zainterpelowany oficjalnie przez innego członka Parlamentu (pana Mc Entee, z okręgu, z którego pochodzi podsądna), Min. Spr. Wewn. Clynes odrazu zwrócił się z petycją do Króla o ulaskawienie jej, co już nastąpiło.

Pierwotnie zamieniono jej karę śmierci na półtora roku więzienia, lecz prawdopodobnie zwolnią ją wcześniej.

W niespełna trzy tygodnie po ogłoszeniu wyroku, O. K. Wise dała życie w więziennym szpitalu bliźniętom (o, ironjo!...).

Setki ludzi odwiedzają ją tam, między innymi żona min. spr. wewn. pani Clynes, która stwierdziła, że wszystko zostało zrobione, ażeby położnica była otoczona atmosferą niewięzienną... „Leży w pokoju, w którym pali się wesoło ogień na kominku, dokoła niej stoją kwiaty“...

Ale fakt pozostaje faktem, że bez względu na wezwania prasy i na prośby, podpisane przez tysiące ludzi, — odnośne władze pozostały głuche na ludzkie żądanie, ażeby „dziecko nie ponosiło kary za winę matki i zostało urodzone po za murami więzienia“.

Jest ich dwoje — chłopczyk i dziewczynka — za którymi do końca życia pójdzie ten stygmat... *Prawo!*

Wielki czas na reformę takiego prawa, zwłaszcza w kraju o tak wysokiej kulturze, jak Anglja.

Teodora Drzewiecka.

*) Tak kaže odwieczna tradycja angielskiego sądu.

JAK UCZCIĆ PAMIĘĆ OSTATNIEJ DZIEDZICZKI TUHANOWICZ?

Do świetlanych postaci, pełnych niezrównanego zaparcia się siebie i poświęcenia dla dobra kraju, do urodzonych i twórczych społeczniczek polskich, należała bezwarunkowo Nestorka ziemianek kresowych Ś. p. Józefa Tuhanowska, zmarła w dniu Wigilijnym 24 Grudnia 1930 roku, w skromnym folwarku, należącym do klucza tuhanowickiego, „Nowym-Świecie“.

Bezwarunkowo wśród ziemianek i działaczek doby popowstaniowej należy się Jej pierwsze miejsce, nie tylko dla ogromu dokonanej pracy i czynów niezwyklej zasługi, ale i dla nadzwyczajnego polotu ducha i niespotykanej wprost ofiarności na cele natury publicznej. Drobna, wątła fizycznie Jej postać opromieniała tak potężną miłością Ojczyzny i wszystkiego, co dobre i szlachetne, tak wyjątkowo wielkie serce, pełne podniosłych ukochań, że stała się nie-

zwykłym zjawiskiem, godnym obszerniejszej wzmianki w dziejach kultury Kresów Wschodnich.

Urodziła się w 1863 (czy 1864-tym) roku z matki Zofji z Wereszczaków, synowicy Mickiewiczowskiej Maryli, i z ojca Konstantego, dziedzica olbrzymiej fortuny i dumy rodowej, tytułowanego zazwyczaj „Księciem Tuhanem“, który, uwięziony przez Murawjewa za czyny patriotyczne i udział w powstaniu, zmarł w 1864 roku w więzieniu Wileńskim, nazajutrz po śledztwie połączonym z torturami. We wczesnym dzieciństwie straciła matkę i trzy siostry na suchoty i została jedyną dziedziczką milionowej fortuny, którą uważała nie za swoją własność, lecz za depozyt, obróciła całą na cele społeczne i naukowe, wiodąc życie więcej niż skromne, pełne zaparcia się siebie i poświęcenia, żałując sobie na wszelkie rozrywki młodości,

a nawet na konieczną kurację. Ci, którzy znali bliżej Orzeszkową, twierdzili, że Józefa Tuhanowska służyła sędziwej autorce za wzór do postaci Seweryny z „Dwóch Biegunów“. Rzecz pewna, że pod względem zaparcia się siebie i poświęcenia dla spraw publicznych stanowiła ona typ, rzadko spotykany w życiu powszednim.

Wychowana w uroczych, opromienionych poezją Mickiewiczowską Tuhanowiczach, ostatnia krewna Maryli i ostatnia latorośl historycznego rodu ks. Tuhanów, wzrosła w umiłowaniu rodowych i historycznych tradycji z jednej strony, a w ciężkiej popowstańcowej atmosferze z drugiej.

Pamięć o męczeńskiej śmierci ojca rozbudziła w niej od lat najmłodszych wyegzaltowaną miłość Ojczyzny, ukochanie ludu i wysokie poczucie obowiązków społecznych.

Stary, nastrojowy dwór tuhanowicki promieniował na całą okolicę i ściągał pod dach swój całe rzesze szlachty zaściankowej, synów i córek właścicieli drobnych folwarków, znajdujących się w trudnych warunkach finansowych, a którzy od tuhanowickiej dziedziczki czerpali polską kulturę i pomoc materialną. Gdyby zliczyć tych, którzy pannie Tuhanowskiej zawdzięczają byt, stanowisko, lub powrócone zdrowie, a przede wszystkim wyrwanie z ciemnoty — możnaby śmiało powiedzieć, że imię ich — legjon. Była bezsprzecznie dobrodziejką wszystkich potrzebujących i to nie tylko w swojej okolicy.

Ś. p. Józefa Tuhanowska wyrzekła się całkiem osobistego szczęścia, wyrzekła się rozrywek, które mogła Jej dać posiadana pozycja w świecie i miljonowa fortuna. Sprzedała prześliczne, bezcenne srebra i klejnoty rodzinne, sprzedała majątki Smolczyce i Siołdę oraz olbrzymiej wartości las, a otrzymane w ten sposób kapitały obróciła na fundacje i cele publicznej

natury, żałując sobie nawet na ubranie. Wylczyć trudno wszystkie instytucje, które powstały z Jej ofiarnych pieniędzy, gdyż ofiarodawczynie starannie unikała rozgłosu; wspomnę zatem te tylko, o których wiem bezpośrednio.

W młodości swej ś. p. Józefa Tuhanowska ukończyła w Warszawie kursa sanitarne i założyła w Tuhanowiczach bezpłatną poradnię lekarską, oraz szpitalik w dawnej oranżerii. Leczyła biedną ludność z całej okolicy i wkrótce doszła do takiej wprawy, że — jak twierdzili sami lekarze — niejeden korzystał z jej praktycznych wiadomości lekarskich. Zwykle jakiś młody lekarz spędzał wywczas wakacyjne w Tuhanowiczach i do spółki z dziedziczką leczył, a nawet operował w miejscowym szpitaliku.

Jedyną potęgą, przed którą panna Tuhanowska kornie chyliła głowę, była nauka. Sama, wykształcona wszechstronnie, posiadała bogatą wiedzę o florze nowogródzkiej.

Dom jej gościł zwykle latem dużo wybitnych umysłów Polski i słusznie stare Tuhanowicze nosiły miano „Aten Nowogródzkich“.

Bywał tam Henryk Sienkiewicz z córką, Tadeusz Korzon, zwany przez pannę Tuhanowską „mój król“. Profesorowie: Benedykt Dybowski, Józef Kallenbach, Marjan Massonius, Ign. Chrzanowski, Zofja Joteyko. Przebywała też Orzeszkowa, Konrad Prószyński z malarzy Malczewski, Chełmoński, Stachiewicz, Wierusz-Kowalski. Z artystów dramatycznych: Aleksander Michałowski, Myszuga, Kotarbiński, Wanda Siemaszkowa. Przyjeżdżał też Władysław Mickiewicz i pani Gorecka.

Panna Tuhanowska z funduszków, otrzymanych ze sprzedaży swych dóbr, zasilala Akademię Krakowską, subsydjowała wiele dzienników w kraju, łożyła



Murowańka, w której mieszkał Mickiewicz, gdy przyjeżdżał do Tuhanowicz.



Dawny dwór w Tuhanowiczach, zniszczony podczas wojny.

spore sumy na oświatę, kształciła całe zastępy młodzieży i nauczycieli ludowych, a od roku 1905 utrzymywała własnym kosztem 3 szkoły: w Tuhanowiczach, Dołmatowszczyźnie i Sargowiczach. W 1910 roku ofiarowała na Tow. Naukowe Warszawskie sumę 50.000 rubli. Wydawała kilka lat własnym kosztem tygodnik „Wszecławiat”. Założyła Warszawski Instytut Geologiczny. Opłacała własnym kosztem docenta na „Wyższych Kursach Naukowych” w Warszawie do 1915 roku. Urządziła przy ulicy Pięknej stację Neurologiczną i Fizyko-Doświadczalną pod kierunkiem Dr. Flattau.

Ufundowała wspólnie z panną Witkowską Instytut Położniczy w Warszawie i osiem szpitalików dziecięcych, które często odwiedzała.

Natura niesłychanie prawa, nieznosiła żadnych kompromisów z etyką, a że główną cechą Jej charakteru była nieugiętość i wielka odwaga cywilna, o ile miała komuś coś do zarzucenia z dziedziny etycznej, nawet, gdy był Jej bliskim, nie cofała się przed najbardziej jaskrawym wyrażeniem swej nagany.

Raz np., gdy zjechali do niej z wizytą wraz z żonami dwaj panowie z Wileńszczyzny, bardzo majątni i ustosunkowani, ale mający na sumieniu sprzedaż ziemi moskalom, przyjęła ich na ganku i nie wpuściła do domu, aż zorjentowawszy się w sytuacji, niefortunni goście odjechali czempredziej na kolej. Takich przykładów zamknięcia drzwi Jej gościnnego zazwyczaj domu, dla niektórych osób, bez względu na ich pozycję w świecie, znam kilka. Jedyną rzeczą, która Jej pozostała po tylu fundacjach, były uroczę — niezrównane pod względem nastroju Tuhanowicze; ale i te, z prawem tylko dożywocia dla siebie, podarowała Mińskiemu Tow. Rolniczemu, które stało wówczas bardzo wysoko, pod mądrą prezesurą S. p. Edwarda Woyniłłowicza i w folwarku „Nowym-Świecie” założyła stację doświadczalną. Niestety, w czasie wojny światowej Tuhanowicze znalazły się na ostatniej linii niemieckich okopów. Z prastarej siedziby dosłownie nie zostało nic — prócz Mickiewiczowskiej altany, kaplicy grobowej Tuhanowskich i części parku. Poza-tem nawet śladu dawnych budynków — zgliszcza,

okopy i ściskająca za serce pustka rzeczy zmarnowanych.

Dziś Tuhanowicze są własnością rządu, gdyż wskutek Traktatu Ryskiego siedziba Tow. pozostała za kordonem i, wstyd przyznać, chociaż prywatne majątki dawno jako tako się odbudowały, a Tuhanowicze rozporządzają dużym lasem i stanowią gospodarczo piękny obiekt — dotąd zalega je pustka. Ani jednego budynku, ani śladu ścieżek, lub jakiegoś ogrodzenia w parku, który po dawnemu zwiedzają wycieczki z całego kraju. Ma się wrażenie, że dopiero co skończyła się wojna.

Panna Tuhanowska mieszkała w paru nędznych pokoikach, na folwarku „Nowy-Świat”, zadowalała się skromną rentą 200 — 300 zł. miesięcznie, nie pobierając żadnej ordynarji w zbożu, ani nawet z owocowego ogrodu, byle tylko nie obciążać budżetu ukochanych Tuhanowicz i doczekać się czempredziej rozpoczęcia choć częściowej odbudowy.

Cierpiała prawie nędzę, gdyż przy swych skromnych środkach, gościła po dawnemu zwiedzających Tuhanowicze i kształciła paru wychowanków. Mawiała zawsze, iż panicznym strachem przejmują ją myśli, że może powstać w Tuhanowiczach szkoła białoruska, zamiast projektowanej przez nią gospodarczej, na wzór Pszczelina, lub że Tuhanowicze mogą pójść na parcelację.

Nękała ją troska, że nawet parku się nie porządkuje, i myśl: „Co będzie dalej?”.

Kto wie, czy ta ciągła troska, w połączeniu z cierpianym niedostatkiem, nie przerwała wątlej nici życia kobiety, u której zawsze duch zwyciężał!

Czy, jako zadośćuczynienie tej świetlanej postaci, która zdrowie, siły i całe dosłownie mienie poświęciła na Ołtarzu Ojczyzny i jaśniała tak wielkiem ukochaniem — nie należałoby się rychło przystąpienie do stworzenia w Tuhanowiczach tej szkoły gospodarczej, o jakiej ofiarodawczyni zawsze marzyła, według pozostawionych przez nią wskazówek?

Czy nie byłby to najwłaściwszy pomnik dla Tej, która od wczesnej młodości życie całe złożyła na Ołtarzu ofiarnej pracy dla swego społeczeństwa?

Wanda Kotwicka.

POLSKIE KORPORANTKI

Panienki w deklach! panienki w burszszafcie! Można sobie wyobrazić ironiczne uśmieszki kolegów. Do czego się te kobiety biorą!

Boć przecie dotychczas podstawową zasadą męskich korporacji studenckich były sprawy: wyпиты i wybitki. Statuty miały wprawdzie zawsze dużo pięknych haseł, jak samokształcenie, podnoszenie poziomu koleżeństwa, życia towarzyskiego w łonie zrzeszenia, etc., etc.; w praktyce jednak wychodziły zabawy, barwna reprezentacja z okazji różnych uroczystości publicznych, częste zwady i sprawy „hierarchiczne“, przypominające najostrzejsze ustępy satyryczne z podróży Gulliwera. Tak było w burszszafkach niemieckich i zupełnie podobny system zaczął się w polskich, z chwilą, gdy uniwersytety nasze zyskały pełną swobodę rozwoju.

Szczęśliwym wyjątkiem były jedynie najstarsze zresztą korporacje polskie, powstałe w Rydze i Dorpacie; tam były one istotnie ogniskami kultury polskiej, zdrowej tężyzny młodzieży i placówkami narodowymi.

Zdawałoby się, że z chwilą odrodzenia, korporacje uniwersyteckie polskie oprą się na tych samych, starych, dobrych tradycjach Arkonji i Velecji. Niestety, tak się nie stało. Korporacje zaroily się na wszystkich wyższych uczelniach, jak grzyby po deszczu, ale w programie działalności nie wyszły poza szablon burszszafków, budząc duże sprzeciwy wśród bardziej postępowej i uspołecznionej młodzieży uniwersyteckiej.

I oto teraz zaczynają zawiązywać się korporacje żeńskie. Jaki cel?

Zobaczmy, jak określa go sobie powstała przed rokiem w Warszawie pierwsza uniwersytecka korporacja żeńska „Priora“.

„Ruch kobiecy przybiera najróżnorodniejsze formy, począwszy od szczytnego idealizmu, a kończąc na pospolitej demagogii.

Nie na tem przecież polega istota rzeczy, że kobieta przepływa kanał La Manche, podejmuje najtrudniejsze loty, zostaje ministrem, dzielnie broni ojczyzny, lub zabiera głos w zagadnieniach społecznych, politycznych, naukowych. Są to jednostki, połowa zaś społeczeństwa, którą stanowią kobiety, leniwie drzemie.

Rozkołysać te masy.

Dać ludzi ludziom, Państwu — obywateli.

My „Prioryztki“ wyrosłyśmy z tego właśnie dążenia. Wychowujemy się na tradycjach niepodległościowych i czynu zbrojnego. Idąc śladami miast akademickich, szczególnie Rygi i Dorpatu, w których murach wyjątkowo często rozbrzmiewa tradycyjna pieśń „Gaudeamus“, stwarzamy typ studentki-korporantki o zdecydowanej sylwetce ideowej.

I nie to ciekawe, że nosimy różnobarwne dekle i bandy, a to, co w przyszłości damy Państwu, *wychowując* siebie i inne w korporacjach żeńskich.

Wychodząc z założenia, że okres studjów wyższych nie jest tylko i jedynie czasem przygotowania się do przyszłej pracy zawodowej, ale także i pracy dla dobra Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej i wytworzenia pełnowartościowej Jej obywatelki, rzucamy na teren akademicki następujące hasła, oparte na zasadniczych kryterjach: pracy społecznej i pracy nad sobą.

Podłożem naszej organizacji jest tradycja dawnych polskich związków wolnościowych, pracujących usilnie w ciężkich dla kultury i cywilizacji polskiej warunkach, które przekazały moralnie swoje hasła i ideały nam, jako przyszłej ostoje społeczeństwa.

Hasła te i ideały, dostosowane do współczesnych nam warunków pracy w Wolnej Niepodległej Polsce, pojmujemy następująco, stojąc twardo na stanowisku państwowości polskiej: abstrahowanie od starć politycznych społeczeństwa; uspołecznienie członkiń; wychowanie prawych obywaterek Państwa; konkretna praca na terenie Wolnego Miasta Gdańska w celu podania bratniej dłoni rodakom w trudnej walce o zachowanie w najczystszej formie pierwiastków kultury i tradycji polskiej; uczynienie z Gdańska sprawy Polskiego morza, a z rozbudowy floty narodowej, marynarki handlowej i wojennej nakazu polskiej racji stanu.

W zakresie pracy nad samokształceniem program korporacji obejmuje podniesienie poziomu intelektualnego i uzupełnienie wykształcenia; koleżeńskie dopilnowanie członkiń w rzetelnym studjowaniu na swych uczelniach; stworzenie serdecznej samopomocy moralnej, naukowej i materjalnej; wyrobienie solidarności i absolutnego wzajemnego zaufania; wytworzenie na gruncie towarzyskim Korporacji współzycia, wiążącego na długie lata, a nawet na życie całe“.

Program istotnie piękny; dodać do niego trzeba jeszcze, że wszystkie członkinie „Priory“ propagują zupełną abstynencję i podejmują walkę z alkoholizmem.

Pomimo dosyć trudnych warunków materjalnych młodego zrzeszenia, członkinie jego wspomagają stale ubogie dzieci polskie w Gdańsku, wydają piśmko własne, biuletyn korporacji i urządzają ciekawe wieczory dyskusyjne. Zebrania te poświęcone są zawsze jakiejś aktualnej sprawie ogólnospołecznej, lub kobiecej. Na jednym z ostatnich dyskutowano projekt „Konstytucji Żeńskiej“ J. Belcikowskiego.

W sposób dosyć ostry, lecz ściśle rzeczowy „Prioryztki“ wypowiedziały swoje zdanie o projekcie, posiadającym wprawdzie duże cechy idealizmu, lecz nie skonstruowanym ani konkretnie, ani praktycznie.

Oprócz pracy wewnętrznej, „Priora“ utrzymuje stałą łączność z powstałą niedawno „Platerją“, korporacją studentek polskich, studjujących na Łotwie, które, żyjąc tam w zupełnym odosobnieniu wśród Łotyszek, Niemek i Rosjanek, dążą do skupienia się w organizacji polskiej.

W programie „Priory“ leży utworzenie związku żeńskich korporacji akademickich, gdyż na terenie wyższych uczelni warszawskich powstaje już drugie zrzeszenie korporacyjne żeńskie „Auxilia“, z podobnymi „Priorze“ założeniami.

W chwili, gdy dużo i, niestety, wiele razy słysznie mówi się o obojętności młodych adeptek wiedzy dla spraw społecznych, o „chodzeniu“ na uniwersytet dla flirtu, zabawy, mody, nie można odmówić najwyższego uznania i szczerzej zachęty tej grupie poważnie na życie patrzących dziewcząt, które zrzeszyły się w pracy „dla dobra Rzeczypospolitej, dla wytworzenia jej pełnowartościowej obywatelki“.

A więc: Vivat, crescat, floreat Priora!

N. J.



Z TEATRÓW

TEATR MAŁY.

„Koniec i początek“ — komedia w 3 aktach Marjusza Maszyńskiego. Reżyserja A. Węgierki, dekoracje K. Frycza.

Na premierę tej przemilej krotchwili szło się z tem blażliwym nastawieniem, z jakim wita się pierwszą próbę sympatycznego dyletanta. Bo przecież aktor, choćby najznakomitszy, porywający się na pisanie sztuki — to tak jakby autor, który gwałtem chce zostać aktorem, a przypomnijmy sobie, że laury aktorskie dwóch tytanów dramaturgji: Szekspira i Molljera — nie należały do najświetniejszych. Stąd płynące ostrzegawcze memento dla tych, co lubią dwie sroki za ogon ciągnąć.

Ta druga „srocza“ nadspodziewanie udała się Maszyńskiemu, nie tyle jednak, żeby początkujący twórca zaćmił znakomitego odtwórcę cudzych postaci scenicznych.

Niewątpliwie, żeby napisać „Koniec i początek“, nie dość być człowiekiem teatru, obytym ze sceną i jej trick'ami; nie dość nawet być zręcznym majstrem, dającym sobie radę ze sklejeniem w zajmującą całość trochę prymitywnie pomyślanych sytuacji — trzeba mieć to coś, co się nazywa żyłką teatralną i... szczyptę poezji.

Kto wie, czy ta szczypta poezji, jak szczypta soli, nie decyduje o smaku całej potrawy. Główny urok sztuki polega bowiem na swoistem, nawpół ironicznym, nawpół sentymentalnym na świat spojrzeniu, które w splocie banalnych konfliktów pozornie nieciekawych ludzi pozwala odnaleźć istotny ich wątek i treść; nić, snującą się przez życie człowieka, krzyżującą jego zamiary, płaczącą się w tysiące węzłów, — nić, której na imię: miłość.

Jesteśmy świadkami jednocześnie końca i początku tej miłości, która zawsze i wszędzie zaczyna się ekstazą, uniesieniem, a kończy najczęściej... nudą. W zestawieniu tych dwu kontrastowych obrazków, które omal że się nie stały miłosnym kontredansem, a zakończyły mazurową figurą „w odbijanego“, nie ma gorczy. Jest tylko jakby lekkie przypomnienie o znikomosci rzeczy świata tego, filuterne zmrużenie powiek, ostrzegające zaslepionych oblubieńców: „poczekajcie! i wy będziecie tacy, jak tamci, gdy się zestarzejecie!“.

Ale zanim nastąpi listopadowa szaruga miłości, autor pozwolił nam być świadkami jednego z najbardziej uroczych jej przedwiośni. To djalog dwojga młodych w drugim akcie, w pokoju na poddaszu — djalog, w którym ani jedno słowo nie potrąca o miłość, ale każde jest nią przepojone, jak wiosna zapachem hjacyntów.

W aktorze obudził się poeta; zagrała w nim krew człowieka polnego, zawołał na niego nawpół zapomniany dwór rodzimny z gęstwiny lip prastarych. Podział się gdzieś Maszyński-kpiarz, Maszyński-Igarz i poliszynel — spadła maska błażeńska z twarzy marzyciela. Zdradziłeś się, trubadurze!

A teraz słówko o fakturze sztuki. Sporo w niej jeszcze kroków niepewnych, stąpnięć fałszywych. Początek każdego aktu niezręczny, niezdecydowany, rozwlekły, źle usposabiający widza do dalszego ciągu. Tymczasem w trakcie rozwoju akcji autor zdaje się rozgrzewać, otrząsa się z tremy, jak aktor, biorąc właściwe tempo dopiero na finishu. Pointe'y końcowe, szczególnie dwu pierwszych aktów — doskonałe. Niezręczną manierą tchną ulubione przez autora powtarzania w djalogach, nie licujące z charakterem krotchwili. Wolno Gospodarzowi w „Weselu“ Wyspiańskiego powtarzać kilkakrotnie swoje „żona stroi się w alkierzu“, bo ten refren wytwarza pewien nastrój senno-widziadlany, nieprzytomny, pewien rytm wewnętrzny. Tutaj i jedno i drugie jest nie do zniesienia, — drażni, jak dysonans.

Obsada i wykonanie sztuki było świetne. Romanówna stworzyła pełną wiosnianego uroku postać młodej dziewczyny. Modrzewska i Fritsche byli świetnymi reprezentantami eksmiło-



Teatr Mały: „Koniec i początek“. Maszyński, Romanówna i Fritsche.

snej dulszczyzny. Kto wie, czy sam autor nie czuł się najgorzej w roli „marcowego kawalera“, nie leżącej specjalnie w rozległym kręgu jego możliwości artystycznych. Musiał trzymać na wodzy swój temperament, przyzwyczajony do ewalowania nad przepaściami szarży i brawury. Małkowski trafnie ujął rolę starego totumfackiego lokaja, któremu autor kazał wygłaszać zbyt mądre sentencje. Nie mógł się, widać, obyć bez rezonera.

Reżyserko sztuka była opracowana z drobiazgową starannością, której zawdzięcza parę świetnych momentów (flirt po dwu stronach szafy). Niewątpliwie doczeka się pięćdziesięciu przedstawień, czego jej szczerze życzymy. S. P. O.

KOBIEȚA W ŚWIECIE I W DOMU

ZJAZD ZJEDNOCZENIA KOBIEȚ SŁOWIAŃSKICH.

Zjednoczenie powyższe istnieje od roku zgórą i zrzesza obywatelki wszystkich państw słowiańskich. Na zaproszenie i za zachętą p. Smolarzowej-Czapkowej, przewodniczącej Zjednoczenia w Czechach, powstało w roku zeszłym w Krakowie koło Z. K. S., mające za zadanie tworzenie Kół analogicznych na całym obszarze Rzeczypospolitej Polskiej, a jako cel najbliższy zorganizowanie Zjazdu.

Zjednoczenie Kobiet Słowiańskich w Polsce jest zrzeszeniem apolitycznym i bezpartyjnym, ma jedynie na celu zbliżenie narodów słowiańskich na polu kultury narodowej i utrzymanie najszlachetniejszych dróg łączności między temi narodami, z wykluczeniem wszystkiego, coby to szlachetne braterstwo nadwyrężyć mogło. Pierwszy kongres tego rodzaju odbył się w roku zeszłym w Pradze, drugi ma się odbyć w roku bieżącym w Polsce.

Poprzedził go zjazd organizacyjny, który odbył się w ubiegłym tygodniu w Krakowie, dla przygotowania właściwego Kongresu.

JAK JE WSPOMAGAĆ MAŁYM TRUDEM A BEZ KOSZTU.

W liczbie wielu imprez i poszukiwań źródeł dochodu dla zaspokojenia potrzeb najbardziej potrzebnych dzieci i matek, Tow. „Ratujmy Niemowlęta“ zorganizowało w swoim biurze (Nowy Świat 8/10 m. 26) sprzedaż czekolady w opakowaniu z nazwą towarzystwa. Sprzedaż odbywa się po cenach normalnych, czekolada pochodzi z jednej z najlepszych fabryk; dla sklepów i spółdzielni Towarzystwo odstępuje rabat.

Należy gorąco zachęcić do kupowania czekolady w tej nowej firmie „Ratujmy Niemowlęta“; jeśli każda z naszych czytelniczek tam się zwróci i zachęci do tego prywatnych znajomych, będzie to mieć poważny wpływ na rozwój tego nowego źródła dochodu, tak potrzebnego Towarzystwu i jego najgodniejszymu parciu celom.

POZNALIŚMY MISS JOHNSON!

Najlepszą rozrywką dzieci jest *prawdziwa* zabawa w dorosłych; największą uciechą młodzieży bezpośrednie wejście w kontakt z jakimś głośnym w świecie dorosłych wyczynem. Zobaczyć tego sławnego piłkarza, jeźdźca, lotnika, dotknąć prawdziwego samolotu! My, dorośli, nie umiemy się tak entuzjastycznie zachwycać, my już *znamy* te wrażenia, które dla młodych mają największy czar: pierwszy raz przeżywanych. To też szkoły angielskie, w których programie naukowym i wychowawczym leży ta urocza, bezpośrednia łączność młodzieży

z wielkimi wydarzeniami dnia, zaprosiły do siebie sławną lotniczkę, Amy Johnson.

W wielkiej sali hotelu Victoria w Londynie odbył się szereg odczytów, podczas których Miss Amy, nie z wysokości i oddalenia katedry, lecz wprost na środku sali, otoczona tłumem dzieciaków, opowiadała o przygodach swego lotu do Australji. Każdy mógł zapytać o jakąś *ważną* informację, zobaczyć przezroczę, pokazane przez wielką lotniczkę, porozmawiać z *samą* Miss Johnson!

Wyraz twarzy dzieciaków na fotografii jest najlepszym dowodem, czem stała się dla nich ta konferencja.

JAK MA SIĘ UBRAĆ POSŁANKA.

Dużo było sporów i walk poważnych we wszystkich państwach świata cywilizowanego o dopuszczenie kobiet do parlamentu, to też panie, które zostały posłankami, nie zajmowały się takimi drobiazgami, jak wybór toalety na posiedzenia. Obecnie jednak sprawa ta zaczyna wypływać na forum publiczne. Naturalnie, gdzieżby, jak nie w Anglii, gdzie kwestja tego, co, gdzie i kiedy włożyć wypada, urasta nieraz do poziomu sprawy stanu. Utał się, mianowicie oddawna, niepisany, ale ściślej od wielu ustaw zachowywany obyczaj, że posłowie Izby Gmin przychodzą na posiedzenia w cylindrach. I otóż teraz kwestja: jakie kapelusze włożyć mają posłanki? Czy można młodą, pięknie zondulowaną główkę Miss Megan Lloyd George nakryć cylindrem? A pani Suzan Lawrence? Te wielkie okulary w rogowej oprawie, przedziwny kołnierzyk koronkowy z przed lat, no, powiedzmy 20-u i cylinder? Sprawa, aczkolwiek ważna, pozostaje dotychczas nierozstrzygnięta.

W innej stronie świata rozstrzygnięto ją nieco inaczej. Jedna z posłanek, robotnic w stanie Massachusetts przyszła na



Sama opowiada i pokazuje.

posiedzenie w bluzie robotniczej. Narazie wywołało to ogromne zdziwienie, ale energiczna niewiasta oświadczyła bez ogródek, że parlament nie jest zebraniem towarzyskim, tylko miejscem pracy, przystoi tam więc strój pracowniczy. Bardzo rozsądnie wypowiedział się niemiecki związek krawcowych. Panie te twierdzą, że kobiety-posłanki powinny ubierać się w suknie z bardzo dobrych materiałów, i o bardzo skromnych fasonach. Z tem wszystkim niewiadomo jeszcze, jak się unormuje ubiór posłanek angielskich.

PRZYDA SIĘ W GOSPODARSTWIE I W PRZEMYŚLE.

Bardzo ważną sprawą przy badaniu jakości różnych produktów, zarówno spożywczych, jak i wszelkich innych, jest dokładne określenie rodzaju użytej do nich farby (jak wiadomo, i niektóre wyroby cukiernicze używają farb nieszkodliwych) Obecnie udało się skonstruować bardzo precyzyjny aparat, który daje jaknajdokładniejszy rozbiór składników farby i ich rodzaju. Nowy ten przyrząd jest dziełem kobiety, inżyniera Nickerson.

TOBY ZA DROGO KOSZTOWAŁO.

Trzy uniwersytety amerykańskie: w Harvard, Columbi i Pricetown, odrzuciły poważny zapis, po 25 tysięcy dolarów, uczyniony na ich rzecz przez zmarłego Alberta Pillsbury. Testator bowiem przeznaczył te sumy na zwalczanie feminizmu!

„Prąd ten, głosi testament dziwaka, pchający kobiety do polityki i do pracy samodzielnej, szkodzi spokojowi domowego ogniska”.

Rektor uniwersytetu w Columbi, odrzucając ten dziwaczny zapis, oświadczył: „Kobiety grają dziś tak poważną rolę w nauce, handlu, przemyśle, we wszystkich wogóle dziedzinach życia, że na wyrugowanie ich stamtąd trzeba by zużyć znacznie większą sumę, niż zapis pana Pillsbury, a szkód, wynikłych z takiej akcji, nie opłaciłby napewno cały skarb każdego ze stanów, któryby podjął się wykonać wolę testatora.

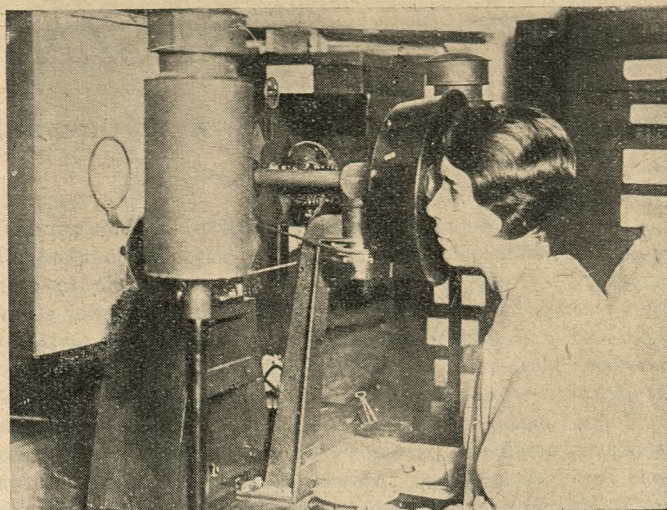
NAGRODZONE.

W klubie aeronautyki w Los Angeles odbyło się uroczyste wręczenie nagród trzem lotniczkom; są to: Gladys O'Connel,



Slamne lotniczki.

Stoją od lewej strony: Miss O'Connel, Miss Boby Trout, Miss Cooper (w bieli) i p. Martin, wręczający nagrody.



Aparat pani Nickerson.

zwycięzcy dorocznego konkursu światowego dla lotniczek-kobiet, i panie Edna May Cooper i Boby Trout, które pobily rekord wytrzymałości w powietrzu: 122 godzin, 50 minut.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Szanowna Pani Polityka stała się w ostatnich czasach zgodliwa i dążąca do kompromisów.

Jakby jej przewodnicy zastanowili się jeszcze głębiej, niż to czynili dotychczas, że wywołanie, albo tylko niezazęgnięcie możliwych konfliktów byłoby ostateczną klęską dla świata, wszędzie objawia się tendencja do pogodzenia sprzeczności i łagodzenia sporów, na zasadzie możliwych ustępstw dla każdej ze stron.

W Rzymie rozgrywa się ostatni akt porozumienia morskiego Włoch i Francji. Jest to daleki epilog zeszłorocznej Konferencji rozbrojeniowej. Rezultatem jej był tylko układ angielsko-amerykańsko-japoński, który bez udziału Włoch i Francji nie miał wielkiego, światowego znaczenia, tembardziej, że w polityce tych właśnie dwóch państw były ciągle zadrażnienia. O ile zostaną one usunięte, a wszystko za tem przemawia, to rozbrojenie, a raczej *nie* zbrojenie ad absurdum na morzach wejdzie chyba na racjonalną drogę.

W Niemczech znów zanosilo się doniedawna na formalną rewolucję hitlerowców. Stronnictwu udowodniono przygotowywanie rewolucji, Hitler zaś odpowiedział demonstracją, wyprowadzając swych posłów z Parlamentu. Demonstracja się nie udała; w dodatku posłowie nie rzekli się mandatów, nie biorąc tylko udziału w posiedzeniach, wskutek czego sami wysunęli się niejako poza nawias działalności politycznej, przynajmniej oficjalnie. Rząd niemiecki mógłby zareagować jakoś na to stanowisko, tembardziej, że, jak się okazuje, „głowa“ partji, Hitler, jest dotychczas... obywatelem austriackim, możnaby go więc, jako „uciążliwego cudzoziemca“, poprostu wydalić; ale, jak mówi przysłowie: „kruk krukowi oka nie wykole“, zbyt bliskie, choć nieurzędowe węzły łączą ten rząd z hitlerowcami, aby im zrobiono jakąś krzywdę. Narazie jednak jest z nimi trochę spokoju.

Na ostatnim posiedzeniu Komisji spraw zagranicznych Sejmu dokonano ratyfikacji traktatu handlowego z Niemcami. Jak to stwierdzono na zjeździe delegatów państw rolniczych w Genewie, i jak każdy, choć troszkę orjentujący się w tych sprawach, łatwo zrozumie, kryzys gospodarczy ogólny, a tem samem i kryzys rolny, zwalczony być może tylko wspólnym wysiłkiem wszystkich państw cywilizowanych. Dla naszego przemysłu węglowego, metalurgicznego, dla hodowli i rolnictwa wznowienie normalnych stosunków gospodarczych z Niemcami przedstawia poważną korzyść.

NASZA MÓWNIKA

Szczęście w małżeństwie, a wychowanie dzieci.

Harmonja w małżeństwie, to fakt o którym wspomina się dziś i myśli, jak o czemś nadzwyczajnem, bo choć niby szczęśliwych i zgodnych małżeństw jest wiele, ale to często tylko pozory. Wina leży tak po jednej, jak po drugiej stronie. Przyczyną zaś tych dobranych lub niedobrych małżeństw są rodzice obojga małżonków. I tak naprzykład: wychowywanie dziecka w despotycznej karności tworzy w przyszłości z chłopca męża satrapę nie do zniesienia, a z dziewczynki bojaźliwą, uległą do przesady żonę, pozostawienie znów dzieciom zupełnej swobody sprawia rodzicom mało kłopotu, ale w późniejszym wieku wytwarza charaktery zbyt bujne, nieokiełznane, w pożyciu małżeńskim niemożliwe.

Najlepszym wskaźnikiem dla współczesnych rodziców winno być codzienne życie. W każdym prawie domu znajdzie się jakaś gazeta, czy pismo tygodniowe; spojrzmy okiem wychowawcy na kronikę, a znajdziemy tam całą serję rad i wskazówek. Rzecz prosta, należy pamiętać, że nie dlatego zostaliśmy dziećmi obdarzeni, by one istniały dla naszej radości, by swoim szczebiotem rozpraszały nam chmury z czoła, a w późniejszym wieku były przyczyną naszej dumy, że syn lub córka osiągnęli jakiś szczebel w hierarchji społecznej. Pilnie i codziennie natomiast pamiętać należy, że dzieci to nasza troska, że musimy je ochraniać od wszelkich wad i złych naleciałości, które w młodym wieku wyglądają na dziecinną igraszkę, a potem wyrastają na duże wady, czasem niemożliwe do wykorzenia.

Ważnym czynnikiem w wychowywaniu dzieci jest unikanie stosowania kar cielesnych. Dziecko, karane cielesnie, staje się z czasem nieczule na wszelkie napomnienia, zatracą ambicję i już jej nigdy nie odzyska. Niejedna mamusia, po przeczytaniu tego twierdzenia, pomyśli: Dobre na papierze, ale niechajby spróbował współzycia z moim gagatkiem, lub z moją nieznośną pieszczością!

A ja twierdzę stanowczo, że dziecko, to wosk, który w ciepłe miłości rodzicielskiej daje się urabiać w dowolne kształty. Trzeba tylko sporej dozy cierpliwości, wytrwałości i, co najgłówniejsze: w spółzyciu z dziećmi nerwy należy schować do kieszeni, a wówczas wyniki będą świetne.

By udowodnić jednak, że to nie frazesy, tylko własne doświadczenie dyktuje mi te dane, przytoczę tu dwa przykłady z mego życia. Oto w młodości byłem korepetytorem w różnych domach. I tak, miałem raz chłopca przygotować do pierwszej klasy. Chłopak zdolny, ale urwis, łobuz, któremu wszystko inne było w głowie, tylko nie nauka. Ojciec bił, czem mógł i ile tylko chłopak wytrzymał; nic nie pomagało, i byłby go był zapewne oddał do jakiego rzemiosła, tylko nauczyciel z poprzedniej szkoły wydał o jego zdolnościach, jak najlepszą opinię. W takich warunkach zacząłem z tym chłopcem naukę. Otwarcie powiem, że męka moja z nim trwała dwa tygodnie; wyczułem jednak w chłopcu iskierkę ambicji, odpowiednio i do pewnych granic ją rozdmuchałem i chłopak po miesiącu był nie do poznania. Po sześciu tygodniach uczeń mój, witając i żegnając mnie po lekcji, rzucił mi się na szyję; a w nieobecności mojej wystarczyło mu powiedzieć: „powiem panu“, a natychmiast cichł i tylko rumieńcem okazywał, jak bardzo mu zależało, bym ja się o tem nie dowiedział.

A proszę nie myśleć, że to wypadek sporadyczny!

Drugi przykład: Córeczka moja (trzyletnia) zwykle dobra i serdeczna, lecz niech tylko któryś z braciszków jej dokuczył, zaczynała nas wszystkich tyraniżować: rzuciła się po podłodze, wszystko robiła przeciwnie, jak jej mówiono, ciskała

przedmiotami; słowem, ręce opadały bezradnie, ponieważ ostatniego argumentu, t. j. kary cielesnej, nie używamy.

Raz, podczas takiego incydentu, wsparłem głowę na rękę i, wpatrując się w małą, zacząłem, mimo jej krzyku, przemawiać do niej: „Dzidi niedobre, martwi tatusia; jeżeli dziecko do tatusia nie przyjdzie, nie ukocha i nie przeprosi, to tatuś się ubierze i wyjdzie“. Z początku krzyk, później cisza, zasłuchanie, następnie uśmiech, wyciągnięcie rączek i... w jednej sekundzie córeczka była już u mnie na rękę, uśmiechnięta i rozkoszna, jak słonko w maju.

Otoczenie, zdziwione tą metamorfozą, pozostało jednak silnie pod wrażeniem tego wypadku i w przyszłości ze skutkiem stosowaliśmy taką metodę w razie złego humoru małej.

Reasumując powyższe, musimy dojść do przekonania, że obecna mała ilość szczęśliwych i dobranych małżeństw, to wina ogniska domowego. Z domu zabiera się w drogę życia *złe* lub *dobre* nawyczki. Jeżeli chcemy, by nasze dziecko nie było kiedyś cierniem, lub ołowianą kulą u nogi, albo powodem samobójstwa, starajmy się już od zarania życia chronić je od złych skłonności, wpajając dobre, no i o ile możności świecić dobrym przykładem, bo dziecko, to wrażliwy i nadzwyczaj subtelny widz i obserwator. A czas szybko mija; wprędce już możemy oglądać skutki naszej pracy wychowawczej, która wycisnąć nam może z oczu łzę żalu, lub radości, w zamian za poniesione trudy.

B. W.

Budżet urzędniczki (w odpowiedzi p. Wandzie R.).

Już od miesięcy sprawa budżetu lub dociągnięcia „według stawu grobli“... zajmowała mnie w najwyższym stopniu.

Jestem nauczycielką w szkole powszechnej w Poznaniu. Mam dorosłą córkę, która materialnie dotąd mi nie pomaga, gdyż jeszcze się uczy. Pensja moja, po odtrąceniu emerytury i podatku, wynosi 268 zł. mies., dodatek lokalny 37 zł. (od kwietnia już go nie będzie) i 80 zł. dorabiam lekcjami. A więc 385 zł. miesięcznie do dyspozycji. Od listopada począwszy, zapisywałam wydatki, od najdrobniejszych do największych, i na podstawie tych notatek ułożyłam swój budżet, lecz, niestety, dotąd tylko na papierze.

Życie (jakknajskromniejsze) na 3 osoby wynosi 150 zł. miesięcznie. Za mieszkanie dwupokojowe płacę 50 zł. Światło (gaz), opał, pensja służącej 60 zł. Wydatki na garderobę (ani jednej sukni balowej na sezon, lecz trzeci sezon czarna z crêpe-satin, dwa razy przerabiana) dla 2-ch osób bardzo chciałabym umieć wcisnąć w ramki 100 zł. mies., to znaczy na osobę 50 zł., lecz przy najlepszych chęciach i skromnych wymaganiach nie udaje mi się to, więc na garderobę idzie 150 zł. Rozrywki umysłowe: gazety, czasopisma, abonament w bibliotece, stowarzyszenia, teatr, koncert, kino = 50 zł. Och! jak mało! To mnie najwięcej boli, gdyż teatr stawiam najwyżej w rozrywkach umysłowych. Wydatki drobne, różne nieprzewidziane — 50 zł.

Wiem, że nie wszystko jest uwzględnione w moim budżecie, lecz i tak suma stanowi już 510 zł. (na bardzo skromne życie inteligentki), a do dyspozycji jest 385! Minus wynosi 125 zł. mies. Są więc nieuniknione raty, zadłużenie z miesiąca na miesiąc u sklepikarza, oszczędności w rozrywkach, żalowanie sobie tramwaju na przestrzeniach 3 — 5 klm.

Prawda, że do listopada roku ubiegłego miałam jeszcze 100 zł. miesięcznie, które beznadziejnie odpadły, i dlatego jeszcze nie umiem wybrnąć. Wierzę jednak, że pokonam te trudności i nauczę się żyć jeszcze oszczędniej, gdyż chcę i muszę ująć wszystkie wydatki w zmniejszone ramki. *Poznanianka.*

CO TRZEBA WIEDZIEĆ O GRUŻLICY

Niezwalczony dotąd wróg ludzkości, gruźlica, pochłania rok rocznie tysiące ofiar. Pomimo doskonale zorganizowanej walki, wysiłków, z jakimi walkę tę prowadzą wszystkie cywilizowane kraje, pomimo mozolnych doświadczeń i poszukiwań — nie znaleziono dotąd drogi, która prowadziłaby do upragnionego celu: do zabicia zarazka gruźliczego, wynagrodzenia organizmowi poczynionych przez niego spustoszeń, do całkowitego nad gruźlicą zwycięstwa.

Jednakże i na tej drodze, aczkolwiek wydawać się może chwilowo beznadziejną, nie brak dorobków. Dorobkami temi są: pewność w możliwe zwycięstwo, jeżeli zabierzemy się do walki bez zwłoki; owocna praca nad uświadomieniem społeczeństwa, skąd i jakimi drogami wróg do niego dociera; wreszcie zupełna pewność, z jaką uczeni badacze mogą już dzisiaj odrzucić groźbę dziedziczności, która wisiała setki lat nad ludzkością, jak miecz Damoklesa.

W zeszłym miesiącu Warszawskie Towarzystwo Walki z Gruźlicą zorganizowało Wystawę Przeciwigruźliczą, która miała na celu uświadomienie wszystkich zwiedzających, uzbrojenie ich przeciwko gruźlicy drogą pokazów, łatwo trafiających do wyobraźni.

Wystawa, o wyraźnym i doskonale ujętym celu, pouczała zwiedzających zarówno o drogach zakażenia, których unikanie jest dostępne dla każdego, jak i o środkach zwalczania gruźlicy. Sądzę, że wszystkie Panie Czytelniczki, a matki w pierwszym rzędzie, nie poskąpią też zainteresowania tej zawsze aktualnej sprawie.

Zacznijmy zatem od racjonalnego oświecenia sprawy dziedziczności.

Dowiedzonym jest fakt, że dziedziczność (w związku z gruźlicą) nie istnieje. Natomiast na podstawie wieloletnich badań ustalono, że organizm noworodka reaguje w sposób nad wyraz czuły na infekcję gruźliczą, a pozatem dziecko, zrodzone z matki, lub ojca, chorego na gruźlicę, przychodzi nieraz na świat z tak zwaną predyspozycją, czyli wyraźniejszą, niż u innych dzieci, skłonnością do infekcji.

Na podstawie doświadczeń i sumiennie przeprowadzonej statystyki wiemy już dzisiaj, że niemowlę, odłączone natychmiast od matki, chorej na gruźlicę, chowane podług wskazań higieny, wyrasta na zdrowego człowieka, gdy przeciwnie, dziecko, zrodzone z zupełnie zdrowych rodziców, a pozostające w kontakcie z gruźlikami, niejednokrotnie pada ofiarą gruźlicy.

Stąd też i wniosek, aby wszystkie mamki, niańki, wychowawczynie, całą służbę domową, a w późniejszych latach i nauczycielki, wchodzące w kontakt z dzieckiem, poddawać badaniom lekarskim przed zaliczeniem w poczet domowników.

Lotny zarazek gruźliczy udziela się nad wyraz łatwo otoczeniu. Nie wybiera i nie szuka dróg zakażenia, wszystkie sprzyjają mu z równym powodzeniem. Drogami temi są: plwociny, oddech, kaszel, pocałunek, spożywanie pokarmów i napoi z jednego naczynia z osobą chorą, spanie nie tylko *w jednym łóżku*, ale i *w jednym pokoju*, wreszcie mleko od krów, dotkniętych popularnie zwaną „zarazą płucną“, która nie jest niczem innym, jak zdecydowaną gruźlicą.

Biorąc pod uwagę poważne odsetki osób, dotkniętych gruźlicą, które obcuja stale z osobami zdrowymi,

zarówno w domach rodzinnych, jak miejscach publicznych, nietrudno zrozumieć, że, pomimo łatwo udzielającej się infekcji, nie każdy organizm reaguje na nią jednakowo; gdyby bowiem zawsze reagował dodatnio, świat stałby się wkrótce jednym wielkim szpitalem, a wślad za tem — cmentarzyskiem.

Aby oświecić tę sprawę racjonalnie, musimy wiedzieć o tem, że gruźlica szerzy się przede wszystkim w środowiskach, pozbawionych dostatecznego dostępu powietrza i światła, w środowiskach nie przestrzegających wskazań higieny, wreszcie za ofiary wybiera sobie organizmy, wycieńczone chorobą, pracą ponad siły, niedostatecznie odżywiane, a wśród ludzi, żyjących w wyżej omówionych warunkach, przede wszystkim jednostki o słabo rozwiniętej klatce piersiowej.

Chcąc zatem ustrzec się przed gruźlicą, pamiętajmy, że jej wrogami zaciętymi są w pierwszym rzędzie: powietrze i słońce, które mają dar zabijania zarazków; dlatego też w mieszkaniach czystych, wystawionych na operację słoneczną i starannie wietrzonych, trudno o siedlisko zarazy.

Równie ważnym, jak unikanie zarażenia, jest opanowanie choroby w zaczątku.

Objawia się ona zwykle utratą apetytu, mizernieniem, spadkiem wagi ciała, ogólnym wycieńczeniem i podniesioną temperaturą.

Ponieważ gruźlica atakuje płuca, żołądek, nerki, kiszki, gardło, kości, skórę, mózg — przeto i leczenie jej nie może być zgóry ujęte w jakieś określone ramy. Jeżeli tylko dadzą się zauważyć wyżej przytoczone objawy, trzeba natychmiast zasięgnąć porady lekarza-specjalisty i stosować się do jego wskazań, pamiętając o tem, że bez rozumnego współdziałania chorego, lekarz cierpienia nie opanuje. Ponieważ przed osobą chorą, lub zagrożoną, ukrywa się zwykle prawdę, przeto na jej otoczeniu spoczywa obowiązek ujęcia kuracji w energiczne i sumienne dłoń.

Trzeba wiedzieć o tem i wierzyć w to, że gruźlica *może być uleczoną*, ale tylko kosztem ciągłej, nieustannej czujności i doceniania niebezpieczeństwa, jakie leży w jej bagatelizowaniu.

Zdarza się często, że pierwsze polepszenie, pierwszy powrót temperatury do wskazanej normy, bywa uważany przez osoby mało, lub wcale nieuświadomione za kompletne wyleczenie, a już odzyskanie normalnej wagi ciała i przywiezione z gór rumieńce każą otoczeniu zapomnieć o groźnej sytuacji, a osobę chorą, czy zagrożoną gruźlicą upoważniają do dawnego trybu życia, wykluczającego wszelkie ostrożności. Tymczasem najczęściej kończy się to tragicznie. Pierwsze silniejsze przeziębienie, wyczerpanie fizyczne chorobą, zbyt ruchliwym trybem życia, sportami, uprawianymi bez opamiętania, pracą ponad siły — i dawny stan wraca, ale już zwykle z daleko groźniejszymi i dalej posuniętymi objawami.

Gruźlica robi najprędzej i najgroźniejsze postępy w organizmach młodych, które najtrudniej podporządkować ciągłej czujności. Aczkolwiek obowiązkiem starszych jest przestrzeganie koniecznej ostrożności i zapobieganie niebezpieczeństwu, to jednak nie wolno zamykać takiego bujnego, młodego życia w kręgu ciągłych tragicznych przewidywań i wiecznego lęku. Rolę pielęgniarki (bo gruźlik nawet w najpierwszym stadium rozwoju choroby musi być stale pod opieką pielęgniarki) bierze na siebie matka; ona to powinna wpoić w dziecko wiarę, że tylko od niego zależy, czy zwalczy chorobę, czy dopomoże jej do szybkiego rozwoju; ona musi strzec dziecko przed upadkiem ducha i utratą nadziei w wyzdrowienie.

Pisząc te słowa, mam na myśli nie małe dzieci, a młodzież, która rozumie już swój stan i niejednokrotnie poddaje się z jego powodu apatji i rozpacz.

Małe dziecko jest zdane całkowicie na odpowiedź osoby, która je pielęgnuje, łatwiejsze do pokierowania, a tem samem podatniejsze drobniagowemu stosowaniu régime'u, zaleconego przez lekarza.

W walce przeciw gruźlicy (przeciw infekcji) i w walce z gruźlicą, jak najdalej posunięta czystość jest wskazaniem czołowym.

Człowiek dorosły, czy dziecko, przebywający w warunkach higienicznych, oddychający świeżym, czystym powietrzem, dobrze odżywiony, uprawiający ćwiczenia fizyczne na otwartym powietrzu — to materiał odporny, rzadko kiedy podlegający gruźlicy, którą zwalczać trzeba na każdym kroku temi właśnie prostymi środkami. Jeżeli już w środowiskach upośledzonych, w ciężkich i niehigienicznych warunkach bytu, wpływających z trudnych warunków materialnych i nieświadomości, gruźlica znajduje ze smutnej konieczności, bezwolne ofiary — niechże walczą z nią rozumnie i skutecznie ci, którym nie brak potemu środków.

Dr. Marja Kłosińska.

NASZE WOLNE GODZINY

(Dokończenie)

Z chwilą uprzątnięcia stołu po kolacji, ułożenia dzieci do snu, pani domu powinna zapomnieć o ciążących na niej obowiązkach, powinna stać się istotą wolną, która nie cofa się myślą wstecz i nie wychodzi naprzeciw zatrudnieniom i troskom dnia następnego. Na to, aby osiąść bezcenny dar umiejętnego korzystania z chwili wypoczynku lub rozrywki, trzeba wyszkolić się w umiejętności wykorzystania chwili bieżącej, jednak bez zgubnego zaniedbywania całokształtu.

W rubryce wolnych chwil najpoważniejszą pozycją jest dzień świąteczny. Najczęściej marnujemy go w imię zabezpieczenia sobie maximum swobody. Od święta nauczyłyśmy się wymagać przedewszystkiem tego, aby pozwoliło nam „nie krępować się niczem“, a właśnie na tem „niekrępowaniu“ zlatuje cenny czas, który możnaby tak przyjemnie i przytem tak pożytecznie wykorzystać.

Zabójczym dla sposobu spędzenia dnia świątecznego, który powinien nam dostarczyć zmiany wrażeń i wytchnienia, jest zwyczaj, aby dzień święty święcić jak najpóźniejszym wstaniem z łóżka.

Poważne przesunięcie godziny pierwszego śniadania, sprzątania pokoi, powolne ubieranie się, podstawowe wykojenie normalnego biegu życia domowego — wprowadza nieopisany chaos, jest najdoskonalszym systemem marnowania czasu. Czy daje nam to jednak zadowolenie i wypoczynek? Wprost przeciwnie! Dzień, tak rozpoczęty, kończymy zazwyczaj z poczuciem niesmaku i żalu, że nie przyniósł nam żadnych dorobków, ani miłych wrażeń.

Wykorzystanie dnia świątecznego powinno w pierwszej linii polegać na umiejętności zdobycia dla siebie i zagwarantowania innym jak najdalej idącej swobody, jak największej ilości wolnego czasu, który możnaby zużytkować podług zgóry opracowanego planu. Za wyjątkiem słotnych okresów wczesnej wiosny i późnej jesieni, najidealniejszym sposobem spędzenia święta jest wyzwolenie się z gwaru miej-

skiego, z szablonowych ram codziennej egzystencji, jest — ucieczka na łono natury.

Dosyć wyjechać chociażby tramwajem elektrycznym do Leśnej Podkowy, równie uroczej latem, jak i zimą, która zależnie od sezonu jest terenem uroczych spacerów po rozległych lasach, albo doskonale zorganizowanych sportów zimowych, aby po spędzeniu kilku godzin na powietrzu wrócić ze świeżym zapasem sił, humoru, zdrowia i odporności do zmagania się z jednostajnością tygodnia pracy.

Okresem najpoważniejszego dorobku zarówno rozrywkowego, jak i wypoczynkowego, jest bezsprzecznie tak zwany „urlop“. Przypada on przeważnie w ciągu letnich miesięcy, a polega na kompletnem oderwaniu się od tego, co składa się przez długie miesiące na treść naszego życia. Otóż zorganizowanie i wykorzystanie tego urlopu powinno stać na wysokości zadania, powinno przynieść nam radość, wypoczynek, zdrowie — to znaczy fizyczne i moralne dorobki.

Trudno przewidzieć zgóry, czy ten urlop spędzimy w warunkach, które zapewnią nam swobodę postępowania w myśl własnych upodobań, własnych potrzeb fizycznych i duchowych.

U nas kobieta-matka i kobieta-żona, przyznająca się otwarcie do tego, że za wypoczynek uznaje spędzenie paru tygodni bez dzieci i męża, byłaby, pomimo wolnościowego nastroju, który wszystkim przyznaje równe prawa, kimś, co przekroczył dozwolone granice. To też zdobywa go sobie czasem, ale nie prosto, nie szczerze i uczciwie, a długą, mozolną i bardzo misterną drogą mistrzowskiej przebiegłości. I to jest właśnie niesłuszne. Tak, jak mężczyzna, obracający się przez jedenaście miesięcy w kieracie jednych i tych samych czynności i wrażeń, ucieka od nich chętnie do zgoła odmiennych warunków, nie poczytując sobie tego za brak lojalności względem rodziny, tak i kobieta nietylko nie ukrzywdzi rodziny, rozłączając się z nią na krótkich kilka tygodni, ale wróci do niej radośnie, wróci świeża, wypoczęta, stęskniona i najczęściej z tym wielkim dorobkiem, że i ona i oni oceniają przez pryzmat rozłączenia siłę serdecznych nici, jaka ich wiąże.

Nie w żadnych warunkach życiowych system ten da się zastosować, jednakże tam, gdzie nie ukrzywdzi on nikogo, powinien być zawsze wykorzystany i jestem pewna, że da najidealniejsze wyniki.

No, i jeszcze jedno, nieomal że najważniejsze w organizacji swobodnych chwil: wyzbyć się przeświadczenia, że projekt, nieobejmujący planem rozrywki w wiecznie jednym i tem samem gronie najbliższych, nie jest dowodem braku serdecznego przywiązania, nie jest wyrazem obojętności lub znudzenia, a prosto może odmiennych upodobań, czy też potrzeby podstawowej zmiany wrażeń — siły, której my jeszcze dzisiaj nie doceniamy, a która gra tak poważną rolę w życiu narodów Zachodu. Wieczne przykuwanie kogoś drogiego, czy bliskiego do własnych zainteresowań, przyjemności, czy wypoczynku, nie jest bynajmniej dowodem wysokiej skali przywiązania, a przeciwnie: jest chęcią szerszenia serdecznego terrozu, na który reaguje się z czasem przebiegłością, lub wykrętem.

Na to, aby życie zachowało smak dojrzalego owocu, musi się składać z sumiennie wypełnionego obowiązku, jakim zasługujemy sobie na wypoczynek i z wypoczynku, który daje nam siłę rozpędu do dalszej pracy. Jedynie równowaga, zachowana pomiędzy jednym a drugim, jest zdolna zapewnić nam peł-

na radość życia i będzie zaprzeczeniem staro-lacińskiej, rytej na tarczach kościelnych zegarów dewizie, która godzinom ludzkiego żywota przypisuje złowieszczą moc, głosząc, że: „wszystkie ranią — a ostatnia zabija“.

Niechże dobre zorganizowanie i dobre wykorzystanie naszych godzin pracy i wypoczynku zada kłam pesymistycznym naleciałościom, które prowadzą do tego, że, żyjąc, zatracamy prawdziwą wartość życia.

Wanda Dobrzańska.

WIOSENNE DOLEGLIWOŚCI SKÓRY

Wichry, a także silniejsze promienie słoneczne, jak również częsta zmiana temperatury i stopnia wilgotności w atmosferze na wiosnę, mogą powodować dość liczne i różnorodne zarówno co do charakteru, jak i co do przebiegu, cierpienia skórne i wewnętrzne.

Na pierwszym miejscu należy postawić opierzenia wystawionych na działanie powietrza części ciała (policzków i rąk), poza tem różnego rodzaju opryszczki, liszajce, pryszczycy (egzemy), krosty (pryszczce), trądziki, a nawet wrzodziaki (czyraki). W tym czasie skóra nietylko twarzy, ale i części ciała, zakrytych ubraniem, ma skłonność do pokrywania się „plamami“, z których piegi odgrywają dominującą rolę. O wewnętrznych, tak zwanych „wiosennych cierpieniach“ mówić nie będę, zaznaczając jedynie, że dotyczą one nietylko płuc i gardła (zapalenia oskrzeli, anginy), ale i innych organów, jak np. żołądek, kiszki i t. p. Wiosną również dość często spotykamy się ze specjalnem zapaleniem spojówki ocznej.

Ażeby możliwie pewnie uchronić się od tych wszystkich cierpień sezonowych, należy baczna uwagę zwrócić przede wszystkim na odżywianie, które powinno być lekkie, z przewagą pokarmów roślinnych, z zastrzeżeniem jednak, by nie nadużywać surowizn i nowalij niezupełnie jeszcze dojrzałych, ażeby nie obciążyć zbyt żołądka i nie wywołać nadmiernej fermentacji, która znów ze swej strony może spowodować zatrucie organizmu, cały szereg cierpień skóry oraz wad cery. Należy również unikać nadmiaru pokarmów mięsnych, zbyt słonych i ostrych, a także konserw, wyciągów mięsnych, pikantnych sosów i napojów wyskokowych, nie wyłączając większej ilości wina. Te wszystkie rzeczy mają duży wpływ na wystąpienie lub też zaostrzenie się artretyzmu, będącego podłożem wielu niedomagań skóry, cery zaś w szczególności.

Wogóle pozwolę sobie zauważyć, że tak zwane „objadanie się“, o ile może być tolerowane zimą, na wiosnę powinno być bezwzględnie zakazane. To też 40 dniowy post przedwielkanocny ma tu swoją rację bytu, chociażby ze względu na zdrowie i estetyczny wygląd. Oczywiście, mam tu na myśli nietylko jakość, ale i ilość spożywanych pokarmów.

Podstawą pożywienia na wiosnę powinny być zupy mleczne, świeże jaja, kartofle, sałaty, szpinak, groch, szparagi, jabłka, pomarańcze, świeże sery i lekkie ciasta. Mięsa nie należy spożywać więcej, niż 125 gr. na dobę, chleba zaś i bułek do 200-tu gr. na jeden posiłek. Z płynów wymienić należy lekką herbatę, wino rozcieńczone wodą i jakieś lekkie piwo.

Ubranie na wiosnę powinno być ciepłe, ale nie ciężkie, ponieważ należy zabezpieczyć się od wiatru, wilgoci i zimna, a jednocześnie udostępnić dopływ powietrza do skóry. W tym samym celu należy wietrzyć mieszkanie, nigdy nie przebywać, a w szczególności nie spać w dusznym pokoju, ażeby nie utrudniać funkcji oddechowych zarówno płuc, jak i skóry, co ma duży wpływ na krwiobieg i różne zastoiny zewnętrzne i wewnętrzne, a także na różnego rodzaju niedomogi skóry, powstające na tle złego funkcjonowania gruczołów skórnych, potowych i łojowych.

W celu zabezpieczenia się od plam, a w szczególności od piegów, tak często zjawiających się w porze wiosennej, należałoby nosić woalki i parasolki koloru brązowego, lub też czerwonego. Ponieważ jednak moda ma swoje wymagania, więc niezawsze można dostosować się do powyższego przepisu. To też dobrze byłoby wcierać codziennie na noc w skórę twarzy goldkrem, dokładnie zmieszany z 10% nadboranem cynku, w ciągu zaś dnia zalecić można wycieranie dwukrotnie płynem o następujących składnikach: wody laurowej 50 gr. i cjanku rtęci 6 gr. W razie zjawienia się jakiegoś zapalenia (podrażnienia) skóry — które zazwyczaj, niestety, występuje na twarzy, — należy niezwłocznie zastosować ścisłą dietę i usunąć wszelkie podniety. Poza tem dobrze jest pić 3 razy dziennie (po szkłance) napar z polnych bratków, chmielu lub też tysiącznika. Myć się (o ile, oczywiście, podrażnienie skóry nie jest znaczne) należy w wodzie ciepłej, bez mydła, po dodaniu do niej 2 gramów sodku benzoosowego i tyleż sodku fosforowego.

Miejscowo niekiedy wystarcza samo pudrowanie mieszaniną talku z cynkiem w równych częściach, w trudniejszych zaś wypadkach jakiś łagodzący krem, np.: nalewki benzoosowej, płynnego styraksu i nalewki kwilainy po 5 kropli; mleczka migdałowego i lanoliny po 2,5 gr.; olejku wazelinowego i wazeliny po 5 gr. (według prof. Gastou i Guillot'a). O ile podrażnienie jest znaczne, dobrze robią okłady z talku, cynku (po 50 gr.) i wody gulardowej (150 gr.).

Za każdym razem, gdy się wychodzi wiosną na wiatr i słońce, należy pod puder używać kremu (według Dra Monin'a), którego skład jest następujący: lanoliny 3 gr., masła kakaowego 7,5 gr., oleju rycynowego 1 gr., wody kolońskiej 0,75 gr. i kilka kropli wody utlenionej.

Przy wysypkach należy przede wszystkim zwrócić uwagę na żołądek, kiszki i wątrobę, które to organy u osób ze skazą artretyczną mogą na wiosnę szczególnie powodować różne wypryski i wyrzuty. Różnego rodzaju pryszczycy i trądziki, również powstające na wiosnę, mogą mieć przyczynę w nadkwasowości lub też w zbytnej alkaliczności soków.

Poza tem często spotykamy się z pokrzywkami, swędzeniem skóry i z różnego rodzaju dermitami. Leczenie ich polega na usuwaniu przyczyny, której zazwyczaj szukać należy w cierpieniach wątroby. Jako miejscowe zabiegi, wystarcza mycie w zimnej wodzie i pudrowanie talkiem z cynkiem. Oczywiście, należy zwrócić uwagę na żołądek, tak często również powodujący powyższe objawy skórne.

O ile mamy do czynienia z wiosenną liszajowatością skóry, należy bezwzględnie na jakiś czas usunąć z codziennej toalety używanie mydła. Myć się w ciepłej wodzie po dodaniu na litr wody 4-ch czubatych łyżek gliceryny i 4-ch łyżeczek od kawy sody. Przy uporczywych wysypkach, spowodowanych ostrem wiosennem powietrzem, należy stosować wcie-

ranie masła muszkatołowego z dodaniem 2 proc. kwasu taninowego i 1 proc. precypitatu białego.

W tej porze roku bardzo często również występują, umiejscawiając się przeważnie na piersiach w okolicy mostka, żółtawe plamy, podobne nieco do plam od białej kawy. Przyczyny tych plam należy szukać w małym drobnoustroju, zwanym grzybkim łupieżowym („microsporon furfer“). Plamy te zazwyczaj ukazują się u osobników o konstrukcji drobnej, wiotkiej i delikatnej, u których na wiosnę odżywianie zaczyna szwankować. Plamy te ustępują po częstym myciu mydłem alkalicznym, lub też siarkowem przy jednoczesnym stosowaniu 2 razy dziennie rano i na noc maści siarkowej 5 — 10 proc. z dodaniem 2 — 6 proc. kwasu salicylowego. Dobrze działa również maść o następujących składnikach: rozczynu dwusiarczynu wapnia 10 gr., lanoliny i wazeliny amerykańskiej żółtej po 3,2 gr.; lub też wcieranie 10 proc. rozczynu tiosiarkanu sodowego. Jednocześnie zalecić należy co 3 — 4 dni kąpiele siarczane.

Na tak zwane opryszczki wiosenne, tak często recyduwujące, a wyrażające się w zjawianiu się drobnych pęcherzyków o zawartości surowiczej przy dość częstym towarzyszeniu stanu podgorączkowego u osób z konstytucją nerwową i podagryczną, najlepiej działa pudrowanie talkiem z cynkiem w równych częściach z dodaniem niewielkiej ilości salicylu. O ile zjawilyby się nadżerki, powinno się je leczyć okładami z $\frac{1}{4}$ proc. azotanu srebra, stosowanymi 2 — 3 razy dziennie.

Pozwolę sobie tu zauważyć, że szczególnie na wiosnę nie należy nigdy bagatelizować objawów suchości skóry — czy to będzie zaczerwienienie, czy łuszczenie, czy pergaminowatość skóry, czy też bodaj małe wysuszenie — albowiem te nieznaczne i mało dające o sobie znać objawy mogą przejść w bardzo duże niedomagania skóry, a wówczas zwalczyć je będzie o wiele trudniej.

Wspomnę jeszcze o tak zwanym półpaścu, inaczej ogniem św. Antoniego zwanym. Cierpienie to polega na tworzeniu się pęcherzyków, układających się wzdłuż nerwów przy znacznej bolesności, a nawet ze stanem podgorączkowym. Półpasiec najczęściej poraża dolną boczną część klatki piersiowej wzdłuż nerwów międzyżebrowych.

Na zakończenie dzisiejszej pogadanki wspomnę o wrażliwości wielu osób na kontakt z niektórymi roślinami. Na pierwszym miejscu postawić tu należy dekoracyjny i ładny kwiatek wiosenny „prymulkę“. Są osoby, które już po kilku godzinach przebywania w sąsiedztwie tej rośliny, nawet nie kwitnącej, dostają uporczywej, silnie swędzącej wysypki, pokrywającej całą twarz, szyję, a nawet części ciała, okryte ubraniem.

Objawy podrażnienia wywołane bywają płynem, zawartym w liściach tej rośliny, a właściwie pokrywającym dolną ich powierzchnię. Płyn ten działa podobnie, jak płyn, znajdujący się na liściach pokrzywy.

Leczenie tego sztucznego podrażnienia polega na bezwzględnej usunięciu tej rośliny z mieszkania, miejscowo zaś wystarczają wycierania porażonych wysypką miejsc wodą kolońską i przypudrowywanie talkiem z cynkiem, zmieszanych w równych częściach.

Dr. med. Zofja Rostkowska.



NIECO O NAWOŻENIU

Celem nawożenia, jak głosi utarte mniemanie, jest dostarczenie roślinom materij odżywczych, których ziemi brakuje z natury, lub które zostały wyczerpane przez wieloletnią hodowlę. Rośliny czerpią z ziemi najwięcej azotu, fosforu i potasu, które stanowią też trzy główne składniki nawozowe. Inne składniki, jak dwutlenek węgla, tlen, magnez, żelazo, sód i t. p., albo nie mają istotnego znaczenia w procesie odżywiania roślin, albo są w dostatecznej ilości zawarte w ziemi, lub w powietrzu.

Nawożenie nie jest jednak czynnością tak prostą, jakby się na pierwszy rzut oka zdawało. Bowiem ziemia, z której rośliny mają czerpać pokarm, powinna nie tylko mieć odpowiedni skład chemiczny, ale nadto posiadać pewne właściwości fizyczne, jak pulchność, przepuszczalność, łatwość nagrzewania się i t. p. Dla delikatnych roślin ogrodowych te właściwości ziemi mają pierwszorzędne znaczenie, czasem bodaj większe, niż skład chemiczny ziemi. Spotęgowanie tych właściwości fizycznych można osiągnąć nie tylko przez umiejętną uprawę mechaniczną, ale w znacznym stopniu przez racjonalne wprowadzanie do ziemi odpowiednich składników. Zatem przy wyborze nawozów trzeba się kierować nie tylko ich zawartością chemiczną, ale i wpływem, jaki wywierają na budowę gleby.

Istnieje jeszcze trzeci czynnik, który należy uwzględnić, mówiąc o nawozach, a mianowicie biologiczne własności ziemi.

W praktyce często bywa stosowane ugorowanie ziemi, ale zabieg ten nie zawsze racjonalnie jest przeprowadzany. W większości wypadków spotykamy ugor *zielony*, zanieczyszczający glebę korzeniami i nasionami chwastów, które wyczerpują pokarmy i wilgoć z ziemi. Gleba niespulchniana ulega się i wskutek wzmoczonego podsiąkania traci zapasy wilgoci, nagromadzone w głębi. To też dodatni wynik daje tylko stosowanie *ugoru czarnego*, często spulchnianego. Badania wykazały, że dodatnie działanie ugoru polega na wytwarzaniu korzystnych warunków dla rozwoju bakterij pożytecznych. Z tego wniosek, że celem prawidłowego postępowania musi być wytwarzanie korzystnych warunków rozwoju dla drobnoustrojów, a więc trzeba też wiedzieć, które nawozy w jaki sposób wpływają na plenie się pożądaných bakterij. Trzeba zatem tak nawozić ziemię, aby nie tylko dostarczyć roślinom pod względem chemicznym brakującego im pożywienia, ale jednocześnie wytworzyć dla roślin najkorzystniejsze środowisko rozwoju.

Musimy więc rozróżniać wśród stosowanych nawozów różne grupy, zależnie od ich składu chemicznego i w związku z tem od ich oddziaływania na zawartość gleby i jej budowę.

Tomasówka i superfosfat zawierają tylko fosfor i wapno: kainit i sole potasowe są zasobne w potas; saletra chilijska, nitrofos, wapno azotowe przeważnie wprowadzają do ziemi azot. Zasilanie więc stałe ziemi jednym z tych środków nie może być uważane za wystarczające, gdyż naprawdę dobry nawóz powinien zawierać wszystkie składniki odżywcze. Taki nawóz posiadamy, a odznacza się on jeszcze i tą zaletą, że wywiera równocześnie wpływ dodatni na budowę fizyczną gleby i na rozwój drobnoustrojów. Jest nim mierzwa.

Nie tak to dawne czasy, kiedy nie doceniano znaczenia mierzwy, jako nawozu. Przypuszczano, że

da się ona łatwo zastąpić przez preparaty chemiczne, które w owym czasie przebojem wchodziły w modę. Ale, jak każda moda, tak i ta wykażała swe słabe strony, więc stara mierzwa powróciła do swych praw i znowu jest uważana za podstawę nawożenia, a wszystkie sztuczne nawozy zeszyły do właściwej im roli nawozów *pomocniczych*, i taką też nazwę noszą obecnie wśród rolników i ogrodników wykształconych.

Prawda, że ziemia, znajdująca się w starej kulturze, więc zasobna w próchnicę, może się przez czas dłuższy lub krótszy obyć bez gnoju i dawać doskonałe zbiory, zwłaszcza, jeśli będzie zasilana nawozami pomocniczymi. Ale nie uda się to przez okres długi, szczególnie w ziemiach przepuszczalnych.

Rozpatrzmy teraz części składowe różnych nawozów.

Niezbędnym, a bardzo kosztownym składnikiem jest azot, który rośliny czerpią z ziemi z takich związków, jak amonjak lub kwas saletrzany. Obfitość azotu w ziemi wpływa przedewszystkiem dodatnio na rozwój systemu korzeniowego, a dzięki temu na bujny wzrost roślin. Użycie więc tego jedynie środka odżywczego w zastosowaniu do roślin, słabo się rozwijających, może przynieść dodatnie wyniki, jeżeli słaby wzrost był wywołany właśnie brakiem azotu w ziemi, albo szczególnie wielkiem zapotrzebowaniem azotu przez dany gatunek roślin, i jeżeli wszystkich innych składników, potrzebnych do normalnego rozwoju, zawiera dana gleba pod dostatkiem. Jednak nadmiar azotu w glebie wywołuje chorobliwy, wybujały wzrost roślin i małą ich odporność na choroby, szkodniki, przymrozki i inne czynniki ujemne.

Najwięcej azotu zawierają: gnojówka, świeża mierzwa, pomiot ptasi i nawóz kłoczący, oraz guano peruwjańskie (również pomiot ptasi); zaś z nawozów pomocniczych: saletra chilijska, siarczan amonowy, azotniak, nitrofos, wapnamon i saletra wapniowa.

Do tej samej grupy należą jeszcze nawozy zielone, ale o nich będziemy mówili później.

Jeżeli rośliny lub części roślin wysuszymy, a następnie spalimy, otrzymamy popiół o bardzo różnorodnym składzie; zawiera on jednak zawsze składniki mineralne, których zestawienie daje wskazówkę, jakich materij i w jakim wzajemnym stosunku potrzebuje roślina do wytworzenia tkanki. Znajdujemy więc w popiele: potas, magnez, krzem, chlor, żelazo, siarkę, fosfor, wapń i inne. Większość tych składników pochłaniają rośliny w bardzo nieznacznej ilości, więc zawsze znajdują ich pod dostatkiem w ziemi. Natomiast do podstawowych zaliczamy obok wapna, potasu i kwasu fosforowego.

Wprawdzie i te składniki znajdują się prawie w każdej glebie, pozostającej w kulturze, znajdują się również w nawozie, ale nie w takiej ilości, aby dodanie ich było zbyt cenne.

Potas jest nieodzownie potrzebny roślinie do wytworzenia jędrnej, mocnej łodygi, zdrowych liści i twardego drzewa. Rośliny, cierpiące na brak potasu, są słabe, a w zimie okazują się mało odporne na mróz. Ziemia gliniasta zwykle zawiera dużo potasu, piaszczysta zaś i błotnista są pod tym względem częstokroć uboższe. W mierzwie znajdujemy przeciętnie około $\frac{1}{2}$ % potasu, w pomociu ptasim około 1%; centnar kainitu zawiera go 10 — 12 kg., a sole potasowe skoncentrowane — od 25 do 30%.

(d. c. n.)

Stan. Schönfeld.

W KUCHNI PANI ADY ORŁOWSKIEJ

Hołdując zasadzie „qui n'avance pas, recule“, — pani Orłowska, jedna z przodowniczek ruchu udoskonalenia przez znormalizowanie gospodarstwa domowego, wciąż uzupełnia swoją kuchnię nowymi sprzętami i narzędziami. Kuchnię tę znają z fotografii pannie, które w roku zeszłym zwiedzały pawilon pracy kobiet na wystawie poznańskiej.

Kuchnia ta różni się od innych kuchen wzorowych, urządzonych w nowych domach, w specjalnie dogodnych, zgóry obmyślanych warunkach — tem, że się znajduje w pomieszczeniu niedogodnego kształtu, z nieodpowiedniem ustosunkowaniem drzwi wejściowych, blachy, zlewu, okna i t. p., a jednak jest urządzona w taki sposób, aby możliwie oszczędzić czas i pracę osoby gotującej i zaopatrzona we wszelkie ostatnie praktyczne wynalazki z dziedziny nie tylko kulinarnej, lecz i prania, sprzątania i innych prac domowych.

Całe szeregi drobnych może, lecz dobrze pomyślanych i dobrze zastosowanych inowacyj znalazły się tam w ciągu roku ostatniego, to jest od chwili, gdy fotografia uwieczniła pierwsze zreformowanie kuchni.

Zaczynamy oględziny od zmywalni. Mieści się ona tuż obok zlewu i w takiej odległości od blachy kuchennej, że nie trzeba daleko sięgać po gorącą wodę. Składa się z ławeczki, ustawionej wzdłuż kuchennego stołu, na którym w czasie zmywania stoi suszarka wynalazku pani Orłowskiej. Ławeczka jest zaopatrzona w dolną półkę, na której się mieszczą wszelkie utensylja, potrzebne do zmywania. Dwa owalne szafliki, połączone ze sobą blaszaną klamrą, zapobiegającą rozlewaniu wody przy przenoszeniu zmywanych przedmiotów z jednego naczynia do drugiego, stanowią samą zmywalnię: w pierwszym naczyniu się myje, w drugim płócze w gorącej wodzie, poczem idzie wprost na suszarkę.

Nad zlewem wisi ciekawa ze wszech miar kolekcja szczotek i szczoteczek; uwagę moją przykuwa jedna, służąca jednocześnie do oczyszczania spodów wąskich naczyń i ich ścianek.

Na kran zlewu zakłada się pomyslowe sitko aluminiowe, które zatrzymuje wszelkie męty i drobiażdżki, spotykane, niestety, nawet w naszej filtrowanej wodzie stołecznej. Na samym kranie jest umocowane solidne, aluminiowe ucho do zawieszania dzbanów, czajników i t. p. w czasie napełniania ich wodą.

Pod zlewem stoi automatycznie zamykany kubek na śmiecie. Wewnątrz kubła znajduje się brezentowy, mocny worek z uszami, pozwalający wyrzucać zawartość kubła bez wynoszenia go na dwór i narażania na połamanie, pogięcie, obłupanie farby i t. p. niebezpieczeństwa.

Stół do pracy jest zaopatrzony w podnoszoną klapę, co go znakomicie podłuża; nie ma jednak otworu na zrzucanie do kubelka oberzyn i nieczystości przy czyszczeniu jarzyn i drobiu. Szanowna gospodyni obmyśliła do tych zajęć specjalną, trójkątną szufelkę z zagiętymi brzegami, zapobiegającymi rozpryskiwaniu się nieczystości przy robocie.

Dalej oglądam aluminiowy koszyczek, służący do gotowania na parze lub smażenia na fryturze; jest bardzo ładny; szkoda, że nóżki ma odchylane, a nie umocowane na zawiaskach: najmocniejszy metal, wyginany wtył i naprzód, musi się prędko ułamać. Da-





Kuchnia p. Orłowskiej: na stole, pod oknem, suszarka jej wynalazku.

leko praktyczniejsze jest uniwersalne denko do gotowania jarzyn na parze, rozsuwane i dające się zastosować do każdego rozmiaru rondla.

Przechodzimy do różnych drobiazgów, ułatwiających przyrządzanie pokarmów; gospodyni pokazuje tylko te, co uznała za celowe i praktyczne, odrzucając całe szeregi innych, wprawdzie przez nią posiadanych, lecz mniej praktycznych, lub nieodpowiednich do naszych warunków.

Jest więc śliczny przyrząd do krajania jabłek i pomidorów w cienkie, równe płatki — a wiemy, ile trudności przedstawiają przy krajaniu, właśnie pomidory. W pomysle jest on podobny do znanego powszechnie przyrządziku do krajania jaj gotowanych na twardo, tylko druty zastępuje tu ostry nóż. Dalej przyrząd do dzielenia jabłek na sześć równych części, z jednoczesnym usunięciem środka z gniazdem nasiennem.

Łopatka drucziana niklowana, służąca do wyrabiania ciasta, do mięszania marmelad, konfitur i t. p.; inna znów, bardzo cienka, długa i szeroka, do podważania mazurków, placków i innych ciast, które tak często nie dają się zdjąć z blachy.

Przyrząd do siekania jaj, korkociąg do upartych korków, przyschniętych do szyjki butelki. Łańcuszki do umocowywania miski przy ucieraniu ciasta, drucziki do spinania zrazów, gołąbków z kapusty (kto nie spotkał się z zapomnianymi w tych potrawach niemi, nigdy nie doceni wagi tego przyrządu), różne drobne przyrządziki, niesłychanie ułatwiające prace kuchen-

ne, lecz i wymagające ciągłej pieczy nad ich utrzymaniem. Leżą one porządnie rozsegregowane w szufladkach z naklejonymi napisami, co i ile czego każda szufladka zawiera. Przeciętna nasza, nawet lepsza służąca połowę ich popsuje, a drugą pogubi; trzeba, żeby pani domu miała zamiłowanie do swej gospodarczej pracy i dużo, dużo czasu, aby z nich móc w pełni korzystać. I jeszcze jedno: — wszystkie te przyrządy są zagraniczne, co już nie jest ich winą, lecz naszych fabrykantów, którzy wyrób drobiazgów uważają za rzecz błahą i niegodną uwagi.

Wszystkie noże, używane w kuchni p. Orłowskiej, są z nierdzewiejącej stali.

Nakoniec duży przyrząd. Kubełek do mechanicznego obierania kartofli. Próbuje. Kartofle, wciąż poruszane wałem, wprawianym w ruch zapomocą kilku zębatach kółek, ocierają się o szorstkie ścianki naczynia i oskrobują z łupin. Nic nowego pod słońcem: przed laty przeszło trzydziestu u mego ojca ogromne kubły, o ściankach pokrytych blaszaną tarką, zapomocą takiego systemu wałów i kółek czyściły po pół korca kartofli odrazu, dla robotników w czasie żniw lub sianokosu.

Na taborecie do czyszczenia obuwia, o nieruchomym wierzchu, a tylko wysuwanej szufladce — kończymy przegląd inowacyj kuchennych. Gospodyni zaznacza, że, według niej, wierzch podnoszony nie daje ustawić nogi przy czyszczeniu, a jeśli jest opuszczony, nie pozwala zmieniać szczotek, past, sukna itp., więc taka konstrukcja taboreta jest praktyczniejsza.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

KLUSKI Z OSTRYM SEREM.

Szklanke (ćwierć litra) mleka zagotować z łyżką masła (sześć deka). Na wrzące wsypać ćwierć kilo mąki, wybijać na ogniu drewnianą łyżką, aż od rondla odstanie. Wsypać łyżeczkę od kawy soli. Zdjąć z ognia i ucierać dalej łyżką. Gdy nieco przestygnie, wbijać po jednemu trzy jaja całe, wciąż wyrabiając mocno, aż ciasto zacznie się ciągnąć za łyżką. Zagotować w dużym rondlu wodę, osolić ją dobrze, na wrzącą kłaść nieduże, podłużne kluski. Używać do tego metalowej łyżki — pierwszy raz zamoczyć ją we wrzątku przed nabraniem ciasta. Kluski te bardzo rosną. Przykryć na chwilę pokrywą. Gdy wszystkie na wierzch wypłyną, odcedzić je na durszlak lub sito. Nelsonkę, albo metalowy półmisek wysmarować masłem, posypać grubą warstwą ostrego, tartego sera, na tem ładnie ułożyć kluski, polać łyżką topionego masła (pięć deka), posypać grubą warstwą tartego sera. Wstawić do dobrze gorącego pieca. Gdy się uformuje chrupiąca, złotawa skórka, podawać bardzo gorące w tem samym naczyniu.

GRZANKI Z PIECZARKAMI.

Długą, półkilową bułkę, tak zwany baton francuski gładki lub nacinany (koniecznie z dnia poprzedniego, aby pieczywo było czerstwe, ściśle i ładnie się dało krajać), obetrzeć ostrą tarką ze skórki i pokrajać na dwucentymetrowe grzanki. Zależnie od długości i grubości batonu, wyjdzie ich od szesnastu do dwudziestu sztuk. Łyżeczką od kartofli wydrążyć w każdej z nich środek, pozostawiając ścianki i denka grubości centymetra. Zrumienić je ładnie w bardzo obfitem masle lub, co ładniej wygląda, usmażyć jak pączki w rozpalonej fryturze. Wyjąć, osączyć na bibule i trzymać w cieple.

Tymczasem pół kilo młodych pieczarek oczyścić starannie z ziemi, następnie obmyć, osączyć z wody na sicie. Usiekać jaknajdrobniej. Łyżkę masła (sześć deka) zasmażyć z utartą na tarce dużą cebulą, wrzucić pieczarki, posolić, poddusić razem. Zaprawić łyżką mąki, pół szklaną rosółu lub wody z kostką buljonową i kwaterką śmietany, odrobinę popieprzyć białym pieprzem. Masa ta powinna być bardzo gęsta. Grzanki ułożyć na brytfannie, napęlnić każdą pieczarkową masą, posypać szczyptą ostrego sera i wstawić w piec, aby się dobrze rozgrzały. Nie trzymać długo, gdyż rozmiękną. Ułożyć w piramidę na półmisku, pokrytym serwetą, ubrać zieloną pietruszką i podać na stół bardzo gorące. Wyborna, lekka przystawka na śniadanie, kolację, lub na obiad do zupy lub po niej.

JARZINY NA PARZE.

Dwadzieścia deka kapusty włoskiej, dwadzieścia deka brukselki, dwadzieścia deka bulwy włoskiej, dwadzieścia deka marchwi, dwadzieścia deka łagodnej cebuli (hiszpańskiej lub cukrowej), jedna spora pietruszka, jeden por i pół selera. Wszystko starannie oczyścić, obmyć, pokrajać na surowo w kostkę; — marchew, o ile już ma nieco zapachu piwnicy, przed użyciem zblanżerować we wrzątku. Formę budyniową wysmarować masłem, układać w niej rzędami jarzyny, leciuchno je soląc. Na wierzch położyć suto masła (około 20 deka), zakryć szczelnie pokrywą i wstawić w rondel z gotującą się wodą. Gotować od chwili zagotowania godzinę i kwadrans. Na chwilę przed podaniem wyłożyć jarzyny na półmisek (mają cudny aromat) i obłożyć zrumienionymi grzankami z bułki, lub fleuronami z francuskiego ciasta.

KABLJAU Z GRZYBAMI.

Środkowe dzwono ryby (wagi jednego kilo) sparzyć wrzątkiem i oczyścić z obu skór: zewnętrznej, popielatej i wewnętrznej, grubej, białawej. Osolić na godzinę. Ugotować w nie-

dużej ilości wody z włoszczyzną, cebulą, pieprzem i listkami. Dziesięć deka najmłodszych grzybków suszonych ugotować na miękko, pokrajać w cienkie paski. Na pozostałym rosółu z grzybów i ryby zrobić dwie do trzech szklanek dobrego, gęstego sosu, zaprawiając go łyżką masła, przesmażonego z łyżką mąki i półkwatkiem śmietany. Sześćdziesiąt deka kartofli ugotować w lupinach, obrać dopóki gorące, pokrajać w cienkie płatki. W głębokiej salaterce ogniotrwalej, wysmarowanej masłem, ułożyć rzędami połupaną w płatki rybę, grzybki i kartofle, lekko popieprzyć białym pieprzem, zalać sosem, aby objęło, i wstawić na kwadrans w dobrze gorący piec. Podawać gorące w tem samym naczyniu.

SAGO ZAPIEKANE Z PIANA.

Filizankę sago ugotować na wrzącej wodzie. Gdy przezroczyste, wylać na durszlak, przelać zimną wodą, ostudzić zupełnie. Sześć białek ubić na bardzo sztywną pianę, zmieszać z piętnastoma deka cukru-pudru, dodać dla zapachu otartą z cytryny skórkę i sok z tej cytryny. Zmieszać prędko z ostudzonym sago, ułożyć na półmisku, wysmarowanym masłem. Posypać grubym kryształem i zapiec w niezbyt gorącym piecu. Gdy tylko po wierzchu lekko się zrumieni, podać z syropem owocowym.

NALESNIKI „POMIANA“.

Nasz znakomity rodak, piszący niestety, tylko po francusku, lecz mający smak wybitnie polski, podał w ostatnim zeszycie miesięcznika „Art Ménager“ przepis na naleśniki, nbszące jego nazwisko; po wypróbowaniu, naleśniki okazały się tak smaczne, że pozwałam sobie podzielić się tym przepisem z czytelniczkami „Bluszczu“.

Rozbić w misce trzy jaja całe, wsypać 250 gr. (ćwierć kilo) mąki pszennej, dodawać potrochu mleka i ubijać mątewką, aż masa nabierze konsystencji śmietany. Osolić. Zaromatyzować kirszem. Wobec tego, że nie miałam kirszu, wlałam kieliszczyk krajowego likieru z czereśni (griottes), mającego też silny zapach pestek. Patelnię smarować kawałkiem masła, zawiniętego w płótno, lub (to już moja rada) kawałkiem młodej słoniny, co mniej przypala. Powinno z tego wyjść dwadzieścia cienkich naleśników. Każdy naleśnik posmarować gęstą śmietaną a na to poziomkowemi konfiturami. Zwinąć w rolki, zrumienić na masle, posypać cukrem-pudrem, polać likierem (kirsch, lub ten, którego używaliśmy do ciasta), zapalić i płonące podawać. Mój likier nie chciał się palić, więc musiałam dodać czystego spirytusu, ale i tak było wyborne.

TARTLETKA Z PĘDZONEGO RABARBARUM.

Rabarbarum, pędzone w szklarniach, jest o wiele delikatniejsze w smaku od gruntowego, a zjawia się na rynku w czasie, kiedy już dobrych jablek krajowych nie mamy, zagraniczne zaś są bardzo drogie.

Trzydzieści deka mąki, piętnaście deka tłustego masła, jedno jajko i pół filizanki wody siekać tasakiem na desce, aż się uformuje jednolite ciasto (nie zapomnieć wsypać łyżeczkę od kawy soli). Trzy czwarte tego ciasta rozwałkować i wyłożyć niem tortownicę, lub specjalną foremkę do tartletek (z brzeżkiem, wysokim na dwa do trzech centymetrów). Trzy ćwiercie kilo rabarbarum pokrajać w cienkie płatki, zmieszać z trzydziestoma deka cukru i skórką otartą z cytryny, lub z kawałkiem sproszkowanego cynamonu. Napęlnić tem tartletkę. Z pozostałego ciasta porobić cienkie waleczki i ułożyć je w ładną kratkę na owoc. Połączyć mocno końce waleczków z brzegami ciasta. Posypać lekko pudrem cukrowym i wstawić w piec, dobrze gorący od dołu, aby się ciasto upiekło. Na dziesięć minut przed wyjęciem z pieca jeszcze raz popudrować cukrem. To pudrowanie dwukrotne pokrywa ciasto jakby cieniuchną warstwą karmelu. Podawać gorące lub zimne.

Pani Elżbieta.

PREMJE DLA CZYTELNICZEK „BLUSZCZU“



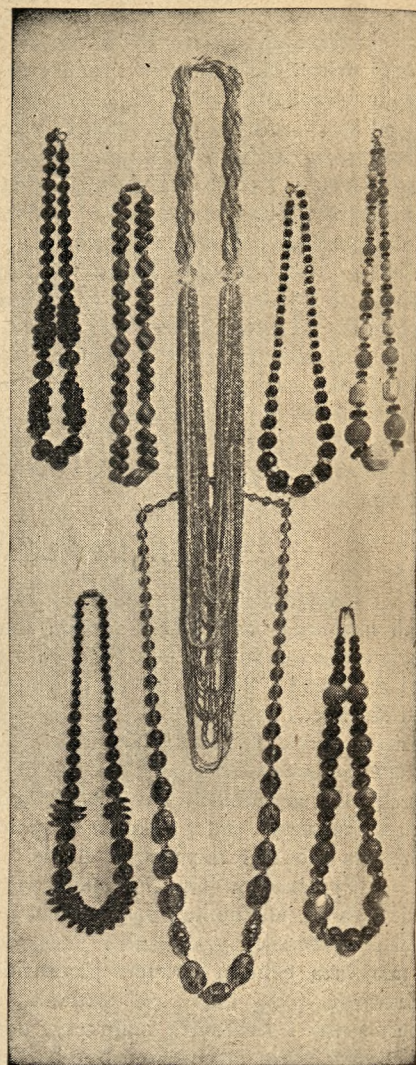
Kto wniesie wprost do naszej Administracji 30 zł., t. j. półroczną prenumeratę „Bluszczu“, opłaconą z góry,

OTRZYMA, JAKO BEZPŁATNĄ PREMJE, JEDEN Z NASTĘPUJĄCYCH PRZEDMIOTÓW DO WYBORU:

- 1) MODNY NASZYJNIK (paciorki), w dowolnym kolorze, niezbędny dla każdej eleganckiej pani;
- 2) Zaczęta, z dołączonymi dodatkami, SERWETKĘ na talerz do chleba;
- 3) Znany ze swej dobroci KREM DO RĄK, wyrobu firmy Fr. Puls, w Warszawie;
- 4) FLAKON znakomitej WODY KOŁOŃSKIEJ — PULSA.

Przesyłając prenumeratę, należy koniecznie wymienić, którą premję Pani wybiera, gdyż w przeciwnym razie wyślemy podług naszego uznania.

Niezależnie od tych premij **każda 20-ta** prenumeratorka, z pomiędzy wpłacających roczną prenumeratę **otrzyma prześliczne wydawnictwo „Sztambuch - Skarbnica romantyzmu“** w opracowaniu **St. Wasylewskiego**. Każda **setna, dwuchsetna i t. d.** otrzyma arcydzieło M. Grossek-Koryckiej p. t. „**Świat Kobiocy**“.



Zwracamy uwagę, że do premji mają prawo tylko osoby, opłacające pełną półroczną prenumeratę, t. j. 30 zł. Prenumeratorki, korzystające z ulg, premji nie otrzymują.

KORESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Wielkopolance. — Plamy żółte na czole i górnej wardze są zapewne pochodzenia wewnętrznego, to też radziłabym zwrócić się do lekarza.

Hen. Zal. — Wypadania włosów podczas przeprowadzania kuracji proszę się nie lękać, gdyż zapewne wypadają włosy już martwe, a także w wyczeskach znajdują się i złamane przy czesaniu i myciu. Tego rodzaju wypadanie nie wpływa ujemnie

na porost nowych włosów, odwrotnie: usuwanie martwych włosów może wyrzucić tylko wpływ pożądany. Szczotkowanie odgrywa rolę masażu skóry, który u Pani jest nieodzowny.

Stalej czytelniczce. — Wągry należy bezwzględnie usuwać, jednakże przy zachowaniu jak największej czystości, dlatego też nie należy skutecznie tego paznociami, lecz specjalną łyżeczką po uprzednim dokładnym umyciu twarzy i przetarciu jej eterem, lub też spirytusem salicylowym. Po wyciskaniu należy ponownie umyć buzię i przetrzeć płynem dezynfekującym (spirytusem salicylowym lub eterem) i przypudrować. łyżeczkę przed wyciskaniem należy przepalić nad płomieniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: **STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW** (naczelnia) i **MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW**.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszczy“, Rymarska 8, tel. 244-18.